

Konkurs
Kamery
na wspomnienia
i reportaże

str.2

Ja: niedowlarek
-Łukasz Mezon
ignoruje moc
uzdrowicieli

str. 12

Spor
z Telewizyjnym
Kurierem
Województw

str. 12

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Rok założenia 1933

Kamena

NR 3 (796)

29 stycznia - 11 lutego 1984

CENA 10 ZŁ



Fot. W. Stępień

„W Lublinie owocnie działa „Kamena” jako ośrodek intelektualnego zacznym, dociekliwych interpretacji zachodzących w kraju procesów społecznych oraz zjawisk kulturalnych. Wnosi liczący się wkład w oświecanie tradycji i współczesności regionu Wydawnictwo Lubelskie. Przykładem właściwego zrozumienia roli sceny i aktorstwa jest działalność Państwowego Teatru im. Juliusza Osterwy. Odzyskują i utrwalają właściwy, wychowawczy rytm lubelskie uczelnie. Trudem i talentem wielu uczonych przybywa wartości zasilających proces gospodarczego i społecznego odradzania się kraju...”

Z przemówienia Wojciecha Jaruzelskiego na XX Wojewódzkiej Konferencji Sprawozdawczo-Wyborczej PZPR w Lublinie.

1001 kłopotów

Mały przemysł - duży problem

Wacław Opacki

BYWALY uchwały polityczne i decyzje rządowe. Odbity wiele, bardzo wiele narad. Po każdej z nich ukazywały się optymistyczne komunikaty, które nie mogły jednak przesłonić braków występujących na rynku — szczególnie tych towarów, za których produkcję odpowiadała tzw. „drobna wytwórczość”.

Taka chociażby sprawa „1001 drobiazgów”, których produkcja leżała w profilu działalności drobnej wytwórczości. Sam termin wylansowano na początku lat sześćdziesiątych, a sklepy o takiej nazwie otwierano w każdym mieście powiatowym. Można było w nich dostać wiele wyrobów z metalu, drewna czy tworzyw sztucznych. Potem przyszły reorganizacje (produkcja drobiazgów koordynowana była przez kilku zmieniających się patronów), które w piorunującym tempie doprowadziły faktycznie do skre-

ślenia w wiadomej nazwie jednego zera. Na półkach sklepowych zaczęło brakować podstawowych rzeczy: młynków do kawy, butelek dla niemowląt, rondli, sprzętu ogrodniczego, drylowanie, łapek do garnków...

Pojęcie przemysłu uspołecznionego związane było między innymi z zakładami spółdzielczości pracy i państwowego przemysłu terenowego, który powstał w oparciu o przeznaczone do zagospodarowania, a zniszczone w czasie wojny obiekty produkcyjne i usługowe. Zakłady te spełniały zbawienną rolę w regionie, bo m.in. aktywizowały lokalną działalność gospodarczą. Tworzyły się na terenach pozbawionych przemysłu, maksymalnie wykorzystując miejscowe surowce i dając miejsca pracy sporej grupie ludzi pozostających wówczas bez zatrudnienia. Z

Dokończenie na str. 8—9

Rybacki dalekomorscy

Lekarz na statku

Janusz Perzyński

LISTOPADOWY wieczór. Mglisty i mokry. Za oknem pospiesznego do Szczecina rozplywa się w mroku sylwetka lubelskiego dworca. Banalny smutek rozstania. Twarze najbliższych, ciepły ślad uścisków.

— Do zobaczenia za kilka miesięcy. Trzymajcie się!

Gdzieś tam, na południowym Atlantyku, oczekuje mnie załoga statku łowczego M/T „Delfin”. W morzu są od września nie mają lekarza.

Najpierw był telefon z działu kadr Przedsiębiorstwa Polowów Dalekomorskich i Usług Rybackich „Gryf” w Szczecinie:

— Doktorze, niech pan weźmie ten rejs...

Potem masa spraw. Podanie o bezpłatny urlop w macierzystej Akademii Medycznej, zgoda władz wojskowych na opuszczenie kraju, wszak stan wojenny, kilka innych jeszcze podań, pism, telefonów. Wreszcie wszystko załatwione.

Monotonny stukot pociągu. Wśród opatulonych nocą pół błyska samotne światełko chlopińskiej zagrody. Zupel-

nie jak lampa pozycyjna statku w bezkresie oceanu.

Dwa dni biegania po Szczecinie. Zaświadczanie o znajomości przepisów sanitarnych żeglugi międzynarodowej, przepisów bhp, postępowania na wypadek pożaru na okręcie; szerepienia, mnóstwo podpisów i pieczęci. W Urzędzie Morskim odbieram książeczkę żeglarską. Zapis sprzed trzech lat przypomina o poprzednim rejsie na łowiska Antarktydy. Teraz jestem zamustrowany na M/T „Bonito”. Z załogą tego statku dotrę na południowy Atlantyk. Tam przesiadę się na swojego „Delfina”.

Zbiórka przed Czerwonym Ratuszem, siedzibą armatora Stos marynarskich worków. Ponad osiemdziesięciu ludzi jeszcze w objęciach rodzin.

— Napisz zaraz, uważaj na siebie, tatusiu kup mi...

Ukradkiem ocierane łyzy, splecione ręce, rubaszne żarciki. Ja mam to za sobą. Podjeżdżają autokary. Ruszamy do Swinoujścia. Według harmonogramu, pierwszym etapem podróży jest Ystad. W Swinoujściu okazuje się, że nie ma promu. Z powodu sztormu nie mógł odbić od szwedzkiego brzegu. Sytuacja napięta, bo nie da już się odkręcić wycarterowanego samolotu linii lotniczych SAS. Planowy start za niecałą dobę z lotniska w Kopenhadze. Ale trzeba dotrzeć do Ystad, stamtąd dojechać do Malmö, potem jeszcze dopłynąć promem do Kopenhagi. Przedstawiciel armatora dwoi się i troi. Telefon za telefonem. Zbliża się północ. Wreszcie są efekty telefonicznej akcji. Kilka godzin snu w nie ogrzewanym domu wczasowym w Międzyzdrojach i o świcie powrót do Swinoujścia. Tutaj czeka już cudem załatwiony prom „Pomerania”. Szybkie oddanie cum i po rozszalałym Bałtyku płyniemy prosto do Kopenhagi. Prom, wielki niby kamienica, tuż się na fali jak furmanka po kocich łbach. Wyposażenie luksusowe, wysoki polylak i odpowiednie do polylaku ceny.

Dokończenie na str. 8—9

Konkurs „Kamena”

Redakcja „Kamena” ogłasza ogólnopolski konkurs w dwóch działach:

1) WSPOMNIENI (PAMIĘTNIKÓW), które pod względem chronologicznym obejmować mogą dowolnie wybrane przez autorów okresy (tygodnie, miesiące, lata) istnienia Polski Ludowej — od początków formowania się nowej rzeczywistości państwowej w 1944 roku, przez lata pięćdziesiąte i sześćdziesiąte, aż do czasów współczesnych. Konkurs ma charakter otwarty. Prace powinny przedstawiać osobiste doświadczenia życiowe, przemyślenia i refleksje — wprost lub pośrednio powodowane czy kształtowane przez wydarzenia ważne w skali kraju albo w wymiarze lokalnego środowiska społecznego. Inaczej mówiąc: organizatorom konkursu chodziłoby o pozyskanie takich prac, które komponowałyby się w Polaków portret własny: tyle subiektywny, właściwy dla indywidualnego przeżywania świata i własnej w nim obecności, co obiektywny, bo zależny od procesów ogólniejszych, także historycznych. Prace wszystkim oceniane będą: szczerść wypowiedzi i merytoryczna zawartość wspomnień, a nie ich jakość literacka.

2) REPORTAŻU — napisanego wyłącznie przez osoby uprawiające zawód dziennikarski. Prace powinny eksponować istotne problemy polskiego życia w społeczeństwie: społecznego, politycznego, kulturalnego i gospodarczego, ujmując je w perspek-

tywie doświadczeń jednostek, rodzin, grup zawodowych, zakładów pracy itp. Chodziłoby przy tym o reporterski zapis tych wszystkich przeobrażeń w sferze ludzkiej świadomości, które sprzyjają wyprzedzaniu kraju z kryzysu, lub — z drugiej strony — proces ten utrudniają. Organizatorzy konkursu zainteresowani są ponadto reportażami przedstawiającymi motywację, przebieg i skutki konkretnych przedsięwzięć na rzecz dobra zbiorowego, realizowanych w dowolnych środowiskach społecznych.

Prace podpisane godłem i zaopatrzone w zamkniętą kopertę z nazwiskiem autora, o objętości nie przekraczającej 15 stron znormalizowanego maszynopisu (w dziale wspomnień przyjmowane też będą czytelne rękopisy), należy przysyłać pod adresem redakcji (ul. Skłodowskiej 2, 20-029 Lublin) do dnia 15 maja 1984 roku (obowiązuje data stempla pocztowego). Liczba prac jednego autora — nieograniczona. Wyniki konkursu ogłoszone zostaną w terminie do 31 czerwca br. W każdym z działów ustala się następujące nagrody:

I — 25 tys. zł,

II — 20 tys. zł,

III — 15 tys. zł,

oraz pięć wyróżnień w wysokości 8 tys. zł każde.

Organizatorzy zastrzegają sobie prawo innego podziału kwoty przeznaczonej na nagrody i wyróżnienia.

Prace wybrane przez redakcję będą publikowane na łamach „Kamena” i honorowane według obowiązujących stawek autorskich. Respektowane będą ewentualne życzenia autorów wspomnień, dotyczące nieujawniania ich nazwisk w druku.

z notatnika

12I. Przy Stowarzyszeniu Dziennikarzy PRL istnieją i działają różne kluby twórcze, wśród nich, jak ktoś powiedział, klub prominencki, to znaczy klub redakcyjny, który w swoim gronie skupia redaktorów naczelnych, ich zastępców i sekretarzy redakcji. Spotykamy się co pewien czas, wymieniamy poglądy, no i narzekamy, że teraz coraz mniej chętnych na stanowiska kierownicze w prasie chociażby z tej przyczyną przyczyną, iż wyraźna podwyżka honorariów redakcyjnych zachęca do pisania, a nie do dzierżenia steru.

Najlepiej to mają — tak sobie mówimy towarzysko — dziennikarze parający się sportem: miejsce na szpalach zawsze zapewnione, bo, jak uczy Toto-Lotek, dyscyplin sportowych mamy tyle, co województw i we wszystkich porach roku coś się gdzieś dzieje. Taki redaktor Skinder podróżuje chyba nie mniej od redaktora Broniaraka, a kto dzisiaj podróżuje, ten żyje podwójnie, bo jednodobowa dieta w kapitalizmie to czarnorynkowo około 10 tysięcy zetał. Był kształtuje świadomość, więc owa świadomość każe jeść suchy chleb w Wiedniu. Potem można sobie te cierpienia odbić w warszawskim „Forum”, gdzie kuchnia nie gorsza niż w „Hiltonie” a ma ten plus, że nie trzeba płacić ciężkimi dolarami. Wyjazd do KK automatycznie pozwala zadbać o dietę, co w starszym wieku swoje znaczenie posiada.

Tym razem spotkaliśmy się w Katowicach, skąd wywieziono nas autokarem do zamczku w Swierkłańcu. Dyskutowaliśmy w obecności wysoko postawionych przedstawicieli ZG RSW „Prasa—Książka—Ruch” na temat kształcenia kadr dziennikarskich. Wyjątkowo krótki referat wygłosił dr Józef Mądry z Wydziału Dziennikarskiego Uniwersytetu Śląskiego, potem mówili praktycy — z „Gazety Robotniczej” we Wrocławiu i „Sztandaru Młodych”, a potem jeszcze wywiązała się dyskusja, w której spieraliśmy się tego. Niżej podpisany reprezentował pogląd, że dziennikarstwa zbytnio nie można się nauczyć. Jeśli ktoś ma talent, to będą z niego ludzie, jeśli nie, to nie ma po co pchać się do zawodu. No tak — ale jak się poznać na talencie w trakcie egzaminu wstępnego na uczelnia? Tutaj testy, a nawet dłuższe odpowiedzi na zadawane pytania, nie na wiele się przydadzą.

Gospodarze województwa — i to z samego szczytu — znaleźli dwie godziny czasu i odpowiadali na liczne pytania. Temat to sam w sobie. Była i wspólna kolacja. Bez kropki wódki. Ponad pięć lat temu w Poznaniu inaczej kończyło się tego typu spotkanie, chociaż poznaniacy zawsze uchodzili za oszczędnych!

15I. Zmarł jeszcze jeden członek chełmskiej „podchorążówki poetów” Zdzisław Popowski, autor kilku tomyków wierszy, współzałożyciel i członek młodzieżowej grupy literackiej „Pryzmaty”, wychowanek KAJ-a. Po

wojnie Popowski działał w Warszawie, był aktywnym członkiem SD, przez pewien czas dyrektorował w wydawnictwie „Epoka”. Ostatni raz widziałem go ponad dziesięć lat temu, kiedy przyjechał do Lublina na pogrzeb założyciela „Kamena”. Przegadaliśmy prawie całą noc. Nigdy nie wiadomo, która rozmowa może być tą ostatnią...

Nie towarzyszyłem mu w ostatniej drodze. Zachowam Zdzisława w pamięci. Pozostały wiersze, niektóre powinny wytrzymać próbę czasu...

Witold Kasperski, Czesław Twardzik, Zdzisław Popowski... Coraz większa pustka...

19I. Dzisiejsza prasa opublikowała przemówienie generała Wojciecha Jarużelskiego, wygłoszone podczas XXX Wojewódzkiej Konferencji Sprawozdawczo - Wyborczej PZPR w Lublinie. Wizyta i sekretarza KC PZPR w naszym mieście właśnie teraz, w przededniu 40-lecia Manifestu PKWN, ma swoją wymowę.

I sekretarzem KW PZPR ponownie został wybrany prof. dr hab. Wiesław Skrzydło. Otrzymał 316 głosów na 318 możliwych, czyli tylko dwóch delegatów skreśliło jego nazwisko (0,6289 proc.). I sekretarza wybierano w osobnym tajnym głosowaniu. Później dokonano na konferencji wyboru 98 członków KW. Komisja Matka, jak to się niegdyś mówiło, przedstawiła listę proponowanych kandydatów (po uzgodnieniu z poszczególnymi delegacjami), następnie z sali zgłoszono 25 imiennych propozycji. Nikt nie występował o zamknięcie listy, sala mogła podać i 50 nazwisk. Sporządzono listę według porządku alfabetycznego. Głosujący mieli z niej wykreślić co najwyżej 25 nazwisk. Pełna demokracja!

Wyniki ogłoszono po kilku godzinach, dla niektórych te godziny musiały być długie w nieskończoność, ostatecznie do końca nie było wiadomo (równocześnie głosowano na zastępców członków KW, członków Komisji Rewizyjnej i Wojewódzkiej Komisji Kontroli Partyjnej). Czy były niespodzianki? Zależy, co można uważać za niespodziankę! Faktem jest, że trzeba wrzeszcze głosowanie traktować jako coś najnormalniejszego w świecie i z góry być przygotowanym na to, że nie zdobędzie się potrzebnej do „załapania się” liczby głosów. W przeszłości różnie pod tym względem bywało, często kandydaty Komisji Matki przechodziły w stu procentach, dziś już tak nie jest i zapewne niektórym trudno się z tym pogodzić, choć to nie znaczy, że należy się zaraz załamywać. Oczywiście niepowodzenie może skłaniać do refleksji i krytycznego spojrzenia na dotychczasową działalność. Wyciągnięte wnioski powinny się przydać w przyszłości, nie tylko na stanowisku partyjnym... Zresztą czyż zaraz musi to być stanowisko? Miał czas dożywoć funkcjonariuszy i działaczy, dlatego dobrze mieć jakiś konkretny zawód, by zawsze móc do niego wrócić. Powinien to być proces naturalny i nikogo on dziwić nie może. Partii się służy, a nie czerpie z niej profitów!

Dyskusja na konferencji była w moim odczuciu taka sobie. „Sztandar Ludu” relacjonował poszczególne głosy. Zabrakło mi w niej tego, co nazywamy perspektywą w szerokim znaczeniu tego słowa. Dobrze jednak, że zabrakło też fajerwerków. Dobrze, że powrócił spokój. Dobrze, że nikt nie szukał taniego poklasku.

Jeden z delegatów zgłosił kandydaturę X-a na członka KW, ale tak go długo „reklamował”, że przewodniczący konferencji musiał przerwać tę rekomendację, stwierdzając, iż „dobrze znamy towarzysza X-a”. W głosowaniu X otrzymał najniklejsze poparcie: jeszcze raz się okazało że „dużo mówić” to nie znaczy „mądrze mówić”.

Ze środowiska dziennikarskiego w skład członków KW wszedł red. Tadeusz Fita ze „Sztandaru Ludu”, a w skład zastępców członków KW —

niedyspozycja żółdkowa jakiegoś redaktora z „Polityki”, puszczenie bąka — a już tu i ówdzie odnosi się wrażenie, że to „powiał nowy wiatr”, że „takie jest ciche życzenie najwyższych władz”? I teksty natychmiast trzeba szybko upychać do biurka, żeby się nie narazić!

O ile mi wiadomo, Z. Nienacki rozmawiał nie z zastępcą redaktora naczelnego, ale z kierownikiem działu literackiego „Kamena” (jeszcze, niestety, nie tygodnika, ale dwu...). Rozmowa ta toczyła się w połowie grudnia ub.r. i Z. Nienacki miał już wówczas sygnałne egzemplarze powieści, która ukazała się w jednym z wydawnictw. Oczywiście można przedrukować książki, które już są bądź mają być na rynku, ale redakcja wybiera zwykle teksty bardziej, powiedziałbym, dziewczęce.



Fot.: Waldemar Stępień

red. Andrzej Szwabę z „Kuriera Lubelskiego”. Zmienił się również nasz sekretarz resortowy: funkcję sekretarza propagandy pierwsze plenum KW powierzyło tow. Andrzejowi Szpringerowi, który dał się m.in. poznać jako ambitny publicysta „Sztandaru Ludu” choć ostatnio był wicewojewodą. Możemy jednak sądzić, że zna on problemy ludzi piszących, a zwłaszcza oplakaną bazę poligraficzną, z którą musimy mieć stale do czynienia. A ja mam wcale nie tak cichą nadzieję, że problem „Kamena” — tygodnika odżyje z całą mocą...

22I. Po co to zacietrzewienie? Daniel Passent przejechał się w „Polityce” po drukowanej w odcinkach na łamach łódzkich „Odgłosów” książce Zbigniewa Nienackiego pt. „Raz w roku w Skiroławkach”. Felietonista zwykle nie pisze panegiryków — jedna książka mu się podoba, druga — nie, jego rzecz. Oczywiście autor ma prawo polemizować, bronić własnego stanowiska, ale nie musi zaraz sięgać do broni najcięższego kalibru, bo narazi się na śmieszność. Przy okazji wplątuje do polemiki i nas pisząc, że „chciała też fragment tej powieści drukować łubelska „Kamena”. Poprosiła o kilka stroniczek. Ale po napaści Passenta ustami zastępcy naczelnego redaktora usłyszałem, że się przestraszyli posądzenia o demoralizację i drukować nie będą. Czyżby raczej miał red. Pardus, który twierdzi, że Passent terroryzuje i straszy?” I dalej: „Tak naprawdę przeraził mnie dopiero „casus” tygodnika „Kamena”. Czyżby znowu doszło do tego, że wystarczy

W sumie — burza w szklance wody. Rozumiem jednak redakcję „Odgłosów”, która w Łodzi nie ma zbyt chłonnego rynku czytelniczego. Tytuł czołwki numeru: „Passent — bierz go!” z pewnością pozytywnie wpływa na nakład, bo my, Polacy, lubimy nie tyle sielanki, co pogwarki w maglu. („Redaktorek” — to jest to!) Przy okazji dowiedziałem się, że Z. Nienacki wydał pięć powieści w Czechosłowacji, a jego książki opublikowane w Polsce jedynie w 1983 r. osiągnęły liczbę 580 tysięcy egzemplarzy. Nieśmiało pozwolę sobie jednak zauważyć, że „Polityka” ma nakład nie tak wiele mniejszy, a więc felietony Passenta, drukowane na jej łamach, też coś tam ważą. Z. Nienacki (aczkolwiek pisze, że „z analizy czytelnictwa prowadzonych przez różne biblioteki wynika, że tu i ówdzie zajmują drugie w miejsce w poczytności po Henryku Sienkiewiczu”) zdaje sobie z tego sprawę, bo nie traktuje Passenta jak wróbla, do którego można strzelać z zwykłej procy. A może kłopoty z gumą? „Erosów” jednak w kioskach „Ruchu” nie brakuje!

23I. „Satyra w krótkich majteczkach” na łamach „Kobiety i Życia”: Ania (lat 4) rozmawia z mamą. „Pójdź do przedszkola — mówi mama — nie będziesz tam miała takiej swobody, ale za to będziesz śpiewać, bawić się z dziećmi...” Ania stanowczo: „Ja nie pójdę do przedszkola, ja sobie załatwiam rentę jak babcia Irenka”. Jakie mamy cudowne dzieci! cztery lata i już myśli o rencie!

M. A. Jaworski

Henryk Pajak

W DWÓCH poprzednich publikacjach, dotyczących sytuacji polskich lasów, pisałem o głównych zagrożeniach i ich fatalnych skutkach wywieranych na wiele enklaw drzewostanów. Obszar bezpośrednich zagrożeń ocenia się na trzecią część lasów, zajmujących łącznie około 8 mln hektarów. Dzieje się to za sprawą szkodliwych pyłów i związków emitowanych przez przemysł oraz w wyniku ponawiających się okresowo, lecz w coraz groźniejszych amplitudach, huraganów i inwazji szkodników naturalnych. Trzecią główną przyczyną jest nadmierny, plądrujący wyrąb lasów, naruszający i tak już zachwiany stan równowagi ekosystemów leśnych.

Tymczasem obraz tej sytuacji byłby niepełny, gdyby negatywów szukać jedynie w zewnętrznych uwarunkowaniach: w klęskach żywiołowych, w niszczylińskim oddziaływaniu przemysłu, w szkodnikach naturalnych itp. Jedynie nadmierny, rabunkowy wyrąb daje się tu bezpośrednio wyjaśnić złą gospodarką człowieka, bowiem wichury, szkodniki i przemysł to „żywioty” w jakiś sposób niezależnie od ludzkiej woli. Nie można np. zrezygnować z fabryk nawozów czy kopalni siarki w imię dobra lasu. Wszystko, co można tu zrobić, to ograniczać ich szkodliwe działanie.

Jest natomiast wiele innych uwarunkowań negatywnych w samym funkcjonowaniu administracji i gospodarki leśnej, w strukturze tej administracji, w możliwościach pracowników i zasobach technicznych. One bowiem są ściśle związane z rozmiarami strat powodowanych przez czynniki zewnętrzne i dopiero razem z nimi tworzą pełny obraz sytuacji lasów, którą bez żadnych wahań należy określić jako katastrofalną.

Funkcjonowanie struktur administracyjnych leśnictwa jest nie mniej chore, niż sam las. To wszystko zaczęło się w 1973 r. w ramach generalnych przeobrażeń terytorialnych, w których wyniku w połowie lat siedemdziesiątych wymazano z map administracyjnych dotychczasowe granice województw, powiatów, gmin.

Tego rodzaju trzęsienie ziemi przeszły także poszczególne dziedziny gospodarki: struktury podległości i zasięgów działania instytucji, przedsiębiorstw i ministerstw.

W resorcie leśnictwa zmiany okazały się „prekursorskie” i... fatalne w skutkach. Odbiło się to w dwóch etapach. W pierwszym zlikwidowano dwie trzecie nadleśnictw, tworząc z pozostałych nadleśnictw — olbrzymy. Jednocześnie zniesiono prawie połowę leśnictw, tworząc z ich obszarów leśnictwa o przeciętnej powierzchni około 1600 ha, ale nierzadko sięgające 3 tys. hektarów. Jeszcze gorszym ciosem była kompresja etatów. Odeszło ponad 1000 osób, w tym setki doświadczonych leśników. Podobnie było z gajowymi, tą pierwszą, niezawodną instancją w życiu lasu. Wielu musiało odejść z leśnictwa. Dla tych, którzy mieli średnie wykształcenie, wymyślono funkcję podleśniczego, co łącznie z zachowanymi etatami „zwykłych” gajowych stwarzało pozory status quo w stosunku do sytuacji sprzed reformy.

Ten ruch kadrowy nie odbywał się bezboleśnie dla ludzi dawno tkwiących w leśnictwie, ale wielu odchodziło bez żalu. Resort ten bowiem od dziesiątków lat tkwi na samym dole siatki plac w porównaniu z resortami i zawodami o podobnej randze w gospodarce narodowej. Sytuacja jest taka, że w szeregu okręgach zarządów lasów państwowych po prostu wakuują etaty dla ludzi ze średnim i wyższym wykształceniem fachowym. Od zawodu leśnika odstręcają nie tylko niskie płace, lecz również ciężka terenowa praca i niezliczone kłopoty techniczno-organizacyjne, utrudniające realizację prawidłowej gospodarki leśnej.

W każdym jednak razie wspomniany tu ruch terytorialno-kadrowy w poważnym stopniu zakłócił tę gospodarkę, jeśli za taką przyjmiemy należytą ochronę, pielęgnację lasu oraz sprawne i pod każdym względem właściwe rozważanie drzewa. Zmiany te

zakami, rolnikami najmującymi się do wywózki drewna, do układania sągów, do prac pielęgnacyjnych, trzebieży młodzików. Na leśniczych spadły podwójne obowiązki biurowe, jak np. nie kończące się sporządzanie wykazów odbiorczych drewna, wypełnianie kwitów przewozowych itd.

Drugim etapem „reorganizacji”, czyli niszczenia wypróbowanych przez dziesięciolecia struktur terytorialnych, było zlikwidowanie w lipcu 1974 r. siedmiu okręgowych zarządów lasów państwowych i utworzenie wręcz gigantycznych obszarów nowych okręgów. Funkcje kontrolne i gospodarcze tych olbrzymów, obejmujących niekiedy tereny kilkunastu województw, zostały zastąpione funkcjami dyrektywno-planowymi. Nadleśnictwo, gigant o obszarze czasem sięgającym 40 tys. hektarów, zawisło w próżni, pomiędzy rozległym i odległym terenem, a równie odległym okręgiem. Tworzeniu wszystkich trzech struktur — okręgów, nadleśnictw i leśnictw — towarzyszyła ich nobilitacja kadrowa. Przy obsadzie nowych etatów decydowała głów-

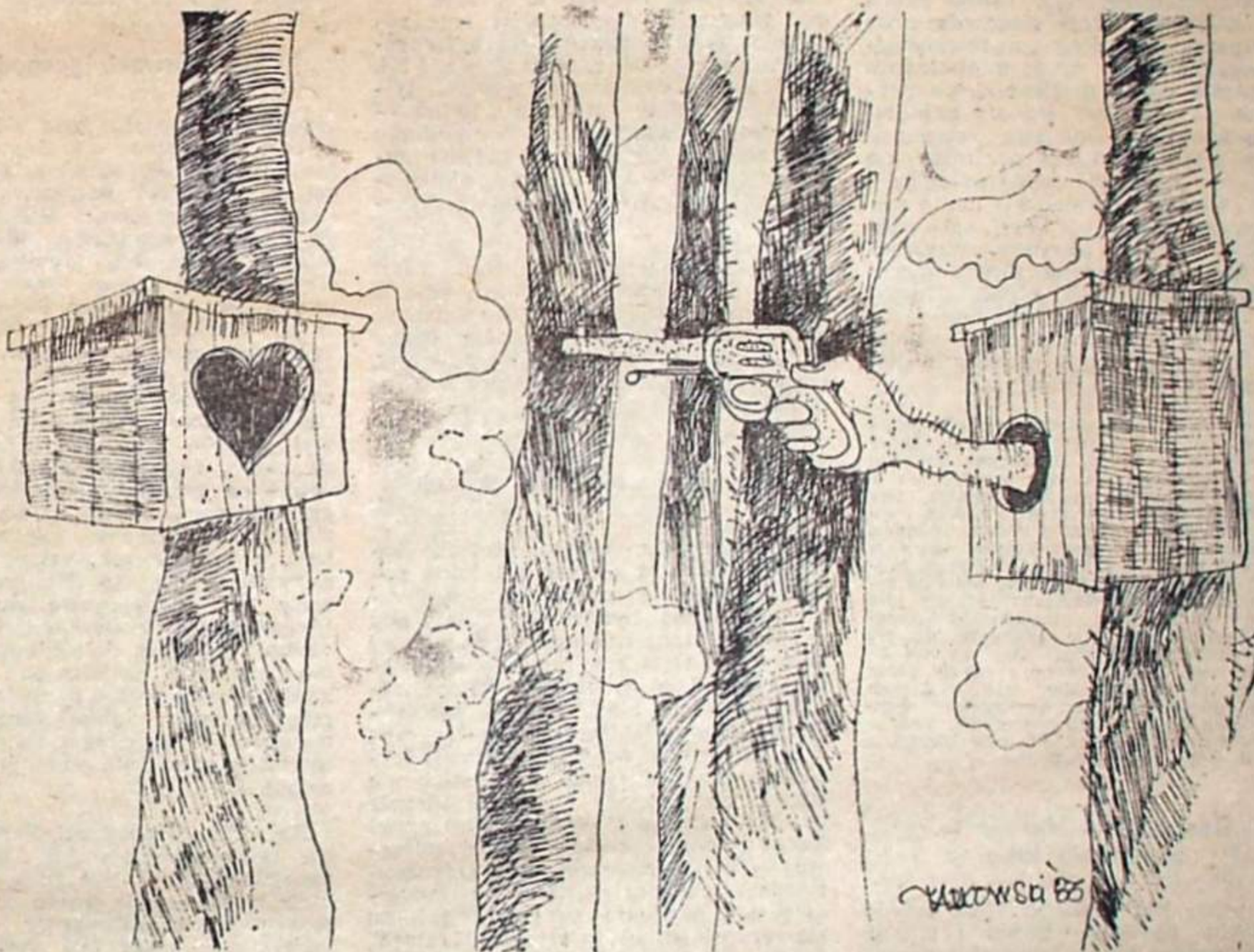
mochoy osobowe i pojazdy specjalistyczne, miały być radiostacje, pogotowia techniczne, samochody awaryjne. Starą metodę skrzykiwania ludzi przez gajowych do doraźnej wywózki drewna, trzebieży i innych robót, miał zastąpić system brygadowy wspomagany nawalą sprzętu.

Rzeczywistość okazała się żalosna. Brakuje wszystkiego: ludzi, sprzętu, łańcuchów do pił, części zamiennych, paliwa. Montowanie brygady staje się koszmarem dla leśniczych. Trzeba jechać niekiedy po kilkadziesiąt kilometrów, zbierać ludzi, dowozić ich na miejsce pracy, potem rozwieźć do domów i samemu wrócić do własnego. Dzieje się to w sytuacji permanentnego braku samochodów i paliwa, przy rosnących kosztach i ograniczeniach materiałowych. Dawniej rolnik, mając zimą trochę czasu, chętniej pojechał z konikiem do pobliskiego lasu, aby zarobić, uzyskać pozwolenie na zebranie gałęzi, asygnatę. W systemie brygadowym to cała wyprawa, poza tym — praca stała. System brygadowy w połączeniu z bezwzględny priorytetem pozyskiwania drewna (według narzuconych planów, a nie aktualnych możliwości lasu) powodował, że prace pielęgnacyjne, dbałość o stan sanitarny lasu, czy też zbieranie posuszu były jedynie markowane. Jak np. cała brygada jeździła po lesie i zbierała pojedyncze wyrwione czy wyschłe drzewa? Na barszcz by nie zarobili. Co innego,

tonowymi podkładami. Podobnie jest ze słupami. Betonowe pękają jak zapalki podczas wichur 1981 roku, czy też zimą 1978/79, kiedy to śnieg i oblodzenie rwąły druty i łamały słupy. To wszystko w połączeniu z kuszącymi możliwościami eksportu naszego drewna daje wyczerpującą odpowiedź na pytanie, dlaczego drzewo powalone już jesienią 1981 roku nadal leży i próchnieje, a w tym czasie pod piłę poszły miliony zdrowych drzew.

Na fali przeobrażeń terytorialno-administracyjnych polskiego leśnictwa oraz ruchu kadrowego unosi się problem jeszcze innej, delikatniejszej natury: doboru ludzi w wyższych instancjach leśnictwa. Obowiązują tu podległości hierarchiczne, niezmiennie, pełne powiązań i niuansów personalnych. Jedni ludzie znikają ze stołków, odchodzą z zawodów, inni trwają ze zdumiewającą skutecznością. Rabka tajemnicy uchyla jeden z uczestników dyskusji prasowej, jaką rozpetał artykuł Heleny Kowalikowej opublikowany w nr. 23 „Przeglądu Tygodniowego”. Wśród wypowiedzi (głównie anonimowych), wydrukowanych w 44 numerze tego pisma, czytamy uwagę o pozycji dyrektorów okręgowych zarządów lasów państwowych. Przetaczam obszerny fragment, który, jak sądzę, nie dotyczy ogromnej większości szefów tych instancji:

„Dysponują oni samochodami bez ograniczeń, leśniczkami, domkami lo-



Rys. Józef Tarłowski

nie prawomyślność oraz dyspozycyjność ludzi w stosunku do instancji nadrzędnej. Miernikiem dyspozycyjności były natomiast rezultaty planów wyrębu. One stawały się głównymi atutami przy awansach, premiach i nagrodach.

Te karkołomne projekty reorganizacji oraz późniejsze ich wcielanie w życie należało przedtem „naukowo” uzasadnić, nie brakowało bowiem śmiałych głosów krytycznych, zgłaszanych przez doświadczonych praktyków leśnictwa na przeróżnych naradach resortowych i zjazdach. Ci ludzie wiedzieli bowiem, co oznacza pozbawienie lasu gajowego, który na swoim terenie zna każde drzewo oraz potencjalnych złodziei. Wiedzieli, czym grozi podwojenie, a nawet potrojenie obszaru leśnictwa i nadleśnictw, nie mówiąc już o okręgach.

Naukową wykładnię dobrodziejstw nowej struktury dał prof. Patalas z Instytutu Badawczego Leśnictwa. W jego opracowaniu dużo mówi się o wzmocnieniu kadrowym i fachowym nowych organizmów. Na ogromne rozciągnięcie granic terytorialnych, na wzrost zadań, na czystkę wśród leśników i częściową likwidację funkcji gajowych skutecznym antidotum miała być technika. Profesor nie szczędził obietnic i postulatów. Miały być sa-

gdy tajfun powalił kilka hektarów. Ale i wówczas szybciej i łatwiej jest wyciąć kawał lasu, niż szperać wśród wywrotów. W realizacji planów pozyskania drewna przeważały więc tzw. zręby całkowite — brygada idzie i wali drzewo za drzewem, po prostu wycina las, a nie wybiera, nie przewidza.

Do omijania posuszu, czyli wyrwconych, połamanych lub uschniętych drzew, skłaniają twarde żądania asortymentowe gospodarki narodowej oraz eksportu. Posusz nie nadaje się np. na kopalniaki. Na wzmocnienie chodników, z których polskie górnictwo wydobywa około 180 mln ton węgla, las musi dać 1,8 mln m sześć, kopalniaków. Czy jesteśmy w stanie odmówić gospodarce narodowej tej ilości drewna? Pytanie retoryczne. Mają swoje twarde potrzeby: budownictwo, przemysł meblarski, papierniczy i wiele innych gałęzi gospodarki. Gwałtownie np. wzrasta zapotrzebowanie na podkłady kolejowe oraz słupy telekomunikacyjne. Okazuje się, że na trasach szybkiego ruchu kolejowego, po których z szybkością 120 km pędzą pociągi z łańcuchem około 4 tys. ton, podkłady betonowe nie wytrzymują nacisku i drgań, pękają. Zdają egzamin jedynie na trasach peryferyjnych — na terenach dawnego zaboru pruskiego są jeszcze do dziś lokalne odcinki z be-

wiecznymi i obwodami dyspozycyjnymi. Potrafią być przydatni i dużo załatwić [...]. Umieją dawać prezenty na święta i z innych okazji: dzieweczyna, zające, bażanty, domki. Mogą sprzedawać drewno na budowę, na dachy na boazerie, załatwić wyrób, przywóz itp. Mają chody w rządzie [...].

Myślę, że jest w tej liście możliwości pewna przesada: można ostatecznie zrozumieć te „zające, bażanty, choinki”. Ale dzieweczyny? Czyż możliwe, aby przepracowane, z takim trudem montowane brygady zajmowały się zamiast rąbaniem kopalniaków, naganianiem dziewczyn pod... lufy promieniotwórcy?

Zarty na bok! Jest zima. Trwa sezon wyrębu. „Leśne żniwa w pełni” — donoszą kolejne pisma, kraszając reportaże zdjęciami drwali walących niebotyczną sosną lub zajądających żupę regeneracyjną z sutą wkładką. Na śmietnikach poniewierają się tysiące, miliony wyrzuconych już choinek. Płyną barki z tarcicą do Szwecji. Firma Goddberg odbiera tarcicę z Lubelszczyzny. „Azoty” dymią. Siarkopol kwasi. Dziennikarze piszą. Czas leci. Jest fajnie.

(cdn.)

„Gospodarka Narodowa”. W Ministerstwie Rolnictwa

Czesław Bobrowski

Z „SOWPOLTORGIEM” rozstałem się chętnie. Ze strony polskiej nie nalegano na mnie, abym przedłużył kontrakt, bowiem w toku pracy narosły pewne konflikty, nie bez mojej winy. [...]

Po przejściowym okresie pracy w Izbie Rolniczej Juliusz Poniatowski, który objął tę funkcję ministra rolnictwa i reform rolnych, zaproponował mi pracę w ministerstwie, gdzie po krótkim czasie objąłem dyrekcję departamentu ekonomicznego. [...] Pod kierownictwem Poniatowskiego Ministerstwo Rolnictwa było czymś więcej niż typowym centralnym urzędem — było narzędziem realizacji szerokiego programu o długim horyzoncie czasowym. Program ten zyskał zrozumienie w zespole „Gospodarki Narodowej” i stał się publikacją kolegów i moje stanowisko pewne wsparcie dla niego, a równocześnie pogłębianie go przez ministerstwo wzbogacało nasze możliwości publicystyczne. I jeszcze jedno: najbliżsi współpracownicy ministra stanowili zgrany zespół, inni zaś poczuli się do daleka posuniętej solidarności (nie licząc „wtyczki” ziemiańskie mimo zajmowanych stanowisk nie zakłócały harmonii). Zespół „poniatowszczyków” pokrywał się w znacznej mierze z grupą stanowiącą rdzeń klubu „Gospodarki”. Dla tej grupy działalność w piśmie była czymś więcej niż współdziałaniem opartym o zbliżone poglądy, była to forma życia. [...]

Inicjatywa wydawania dwutygodnika „Gospodarka Narodowa” wyszła od kilku młodych ekonomistów (liczących niewiele ponad dwadzieścia pięć lat), pracujących w centralnej administracji gospodarczej, lecz obdarzonych temperamentem, a nieraz i talentem publicystycznym. Chodziło nam o stworzenie trybuny pozwalającej swobodnie komentować politykę gospodarczą kraju. Nie była nią ani urzędowa, głównie informacyjna, „Polska Gospodarka”, ani tym bardziej tendencyjna, lewicowska „Przebieg Gospodarczy”. Nie spełniały też tej funkcji zebrania Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego, zdominowane z reguły przez tych samych dyskutantów, nie mających nic do powiedzenia (złowcze miejsce przyjął adwokatowi Lypaciewiczowi, zwane mu materialnym z Placu Teatralnego, gdzie posiadał tylko trzy kamienie).

„Gospodarka Narodowa” zapelniała lukę

wyczuwaną przez wielu, i to przede wszystkim pozwoliło piśmie rozwinąć się i utrzymać przez dziewięć lat, niemal aż do wybuchu wojny. [...]

Jest rzeczą zrozumiałą, że szczupła grupa inicjatorów dążyła do powiększenia — i to w sposób zorganizowany — zespołu skupionego wokół piśma. Aby uniknąć nadmiernego rozszerzenia komitetu redakcyjnego, a ponadto znaleźć miejsce dla bliskich poglądami, a nie piszących kolegów, stworzyliśmy klub dyskusyjny „Gospodarki”, integralnie związany z piśmie, tak że właściwie nie powinno się o nich mówić rozdzielnie. Często, w pewnych okresach nawet cotygodniowe, zebrania klubu zwalniały nieraz o potrzeby zwoływania komitetu redakcyjnego. Dyskusje bywały przedłużeniem lub odwrotnie, inspiracją do publikowanych artykułów. Liczba członków klubu została w praktyce ograniczona do około 40 osób, przyjętych w drodze niesformalizowanej kooptacji. Trudno byłoby mi wymienić nazwiska wszystkich członków klubu, bo ich po prostu nie pamiętam, w zasadzie wleć chciałbym tylko podać listę osób stanowiących rdzeń zespołu. Tu znowu pojawia się trudność — wyboru nie nabył arbitralnego. Przedwcześnie śnięć wylączyła Władysława Landau, zaś więzi z niektórymi członkami zespołu, jak np. z Bogdanem Łączkowskim, rozluźniły się pod koniec istnienia pisma. Z tymi zastrzeżeniami my-

ślę, że słusznym będzie wymienić następujące nazwiska: Henryk Greniewski, Aleksander Iwanka, Wacław Jastrzębowski, Michał Kaczorowski, Piotr Kaltenberg, Tadeusz Lychowski, Józef Poniatowski, Jacek Rudziński, Kazimierz Sokółowski, Zygmunt Szempliński oraz piszący te słowa. Prócz Greniewskiego wszyscy pracowali w resortach gospodarczych.

Trzy podstawowe cechy klubu to: charakter pokoleniowy, drugocząca przewaga średnich i wyższych urzędników z resortów gospodarczych i wreszcie bardzo silne więzi osobiste. [...]

W momencie startu „Gospodarka Narodowa” nie była grupą politycznie zaangażowaną. Dotyczy to zresztą niemal wszystkich ekonomistów tego pokolenia. Jeśli pominąć Oskara Langego, który w 1928 r. wstąpił do PPS, spośród osób dziś jeszcze znanych tylko Hilary Minc (pracownik GUS — czasowo oddelegowany do gabinetu wicepremiera Kwiatkowskiego) był „regularnym” członkiem partii politycznej, w tym wypadku — komunistycznej.

W toku istnienia „Gospodarki” nastąpiła dość poważna ewolucja postaw politycznych. Była ona hamowana aż do śmierci Piłsudskiego, który chyba dla wszystkich pozostał „brygadierem” i główną postacią w odbudowie Niepodległości. Potem

wachlarz postaw ideowych

się rozszerzył, z tym, że nikt nie zaangażował się w działalność ściśle polityczną tego czy innego gatunku. Ewolucja poglądów była niejednorodna i pod względem stopnia, i pod względem jej motywów. O sobie mogę powiedzieć na przykład, że proces brzeski nie wywołał u mnie innej reakcji jak niesmak, natomiast Berezka i dalsze procesy, a przede wszystkim tzw. pacyfikacja oraz odkrycie, że i potem nie cofano się niekiedy (w województwie poleskim, a może i gdzie indziej) przed stosowaniem odpowiedzialności zbiorowej — były wstrząsem. Falę antysemityzmu (studenci palkarze na uniwersytecie i Świętokrzyskiej wydawali mi się groźniejsi niż Przytyk), „zajazd” Doboszyńskiego na Myślenice i flirt OZN-u z Falangą odczytałem jako zwiastuny groźnego niebezpieczeństwa.

Równocześnie w określonym odłamie obozu rządowego mnożyły się objawy degeneracji. Teza racjonalna chyba przez Ignacego Matuszewskiego (a może Kocą?), iż członkom rządzącej grupy należy zapewnić niezależność materialną, aby bez względu na fluktuację gospodarczą mogli spełniać swą misję polityczną, była realizowana nie tylko przez dostęp do lukratywnych stanowisk, ale także do renty kontyngentowej i kredytów bankowych. Znaczną rolę nie centralną rolę w umocnieniu wpływów ziemiańskich w środowisku cywilnych i wojskowych piłsudczyków odegrała działalność Sulowskiego. Ten mały ziemianin, przydzielony podczas wojny polsko-radzieckiej do sztabu Rydza-Smigłego jako wachmistrz „zabawowy”, zdołał sobie zapewnić tytulację generała, a równocześnie uzyskał spore wpływy na tle oszukańczej w gruncie rzeczy sprawy Banku Ziemiańskiego, którego został dyrektorem. Bank ten powstał bez grosza kapitału — kapitał zastąpiło oparcie o... dodatek administracyjny do listów zastawnych Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, gwarancja państwa i kredyt Banku Polskiego. Rozdawanie kredytów krótkoterminowych bez najmniejszej troski o wypłacalność klientów-ziemian i finansowanie ryzykownych operacji doprowadziło do bankructwa Banku, z tym, że w międzyczasie Sulowski zgromadził niezłą fortunę. Byłaby ona nawet znaczna, gdyby nie wystawny tryb życia, zjednujący mu poparcie w sferach cywilnych i wojskowych. Wpływy Sulowskiego służyły aż po sprawę obsad personalnych. Nie mam na to dowodów, ale podejrzewam, że ziemianin-bankier wykorzystywał dla swoich interesów nazwisko Śmigłego. Brałem udział w likwidacji strat Skarbu Państwa — sumy oczywiście nie pamiętam po latach, ale była ona wielomilionowa, znacząca w skali budżetu. W latach sześćdziesiątych Michał Kalecki przypominał mi moje trzecie powiędzenie sprzed trzydziestu lat: „rzeczywistość polska podlega się do kawałów”.

Ponurym kawałem dla wszystkich, którzy znali tę osobistość, była nominacja Leona Kozłowskiego na premiera. Na jej tle mówiono, że ministrem skarbu w jego gabinecie powinna zostać Zula Pogorzelska. Ukazanie się książki Słwoja-Składkowskiego o marszałku Piłsudskim zrodziło inny dowcip: „Pamiętnik psa o swoim panu”.

W tych warunkach nastroje opozycyjne w grupie „Gospodarki” narastały podobnie, jak w całym społeczeństwie. U większości zespołu, jak sądzę, dominowało pesymistyczne przekonanie, że ani na zmianę reżimu, ani na jego korzystną ewolucję nie można liczyć, w każdym razie w czasie dającym się objąć przewidywaniem. Dopiero wojna zróżnicowała, a jeśli chodzi o większość — zradycyzowała postawy polityczne dawnych członków grupy.

W sprawach gospodarki

stanowisko zespołu było dojrzalsze i głębsze. Zapewne w różnym stopniu, ale powszechnie, zdawano sobie sprawę z kruchości gospodarki polskiej (mniej — z kruchości Państwa w jego dawnych granicach). Wielu z nas śledziło publikacje niemieckiego Instytutu Wschodniego, pracowicie wykazujące niezdolność Polski do rozwoju. Odrzucałmy tę tezę, poszukując intensywnie, choć każdy na swój sposób, dróg przyspieszenia tego rozwoju. Zgodnie odrzucałmy podstawowe założenia przedmawianej i pomajowej polityki gospodarczej, opartej na złudzeniu, że rozwój Polski może się odbyć na bazie dopływu kapitału zagranicznego, któremu należy zapewnić cieplarniane warunki, tolerując politykę cen kartelowych, ustanawiając bariery celne itp. itp. Na tym tle wyrosły trzy podstawowe nurty tematyczne pisma i dyskusji klubowych: walka z polityką deflacyjną, a następnie zalecanie śmielszego nakręcania koniunktury; postulat rewizji polityki przemysłowej; konsekwentne, żywe poparcie dla programu rolnego Poniatowskiego, a zwłaszcza dla reformy rolnej. [...]

Roczniki „Gospodarki Narodowej” są już tylko materiałem dla bardzo wyspecjalizowanego historyka, ale w latach trzydziestych pismo to posiadało pewien ciężar gatunkowy, choć oczywiście nie mogło być mowy (podobnie jak zawsze i wszędzie) o bezpośrednim wpływie publicystyki na politykę gospodarczą. Funkcją „Gospodarki” miało być uwolnienie sposobu myślenia o problemach ekonomicznych oraz zerwanie ze stereotypami w zakresie analizy rzeczywistości. W tym sensie Michał Kalecki miał rację, nazywając — bez złośliwości — nasz zespół „szkółką dla dyrektorów departamentu”. Trudno jest ocenić rolę szkoły, która nie wydaje dyplomów. Myślę, że w sumie efekty działalności „Gospodarki” wśród rówieśników i młodszych ekonomistów były nie do zlekceważenia. [...]

Specyficznym dowodem osiągnięcia przez „Gospodarkę Narodową” pewnej pozycji były przejawy wrogości. Pismo jako całość nie doznało żadnych szykan, co zaskakuje na ogół moich współczesnych rozmówców, a jest łatwe do wyjaśnienia, zważywszy na zróżnicowanie paraliżujących się wzajemnie tendencji w obozie rządowym. Szykany osobiste spotykały chyba tylko mnie, i to w skali nie mającej znaczenia (np. opóźnianie przez głównego personalnika, kpt. Drymera, przyznania uposażenia, jakie przysługiwało mi z tytułu stanowiska zajmowanego na podstawie nominacji podpisanej przez prezydenta). Ukłuciem szpilką, mającym jakąś wagę tylko jako symptomat, było „ujawnienie” rzekomo tydowskiego pochodzenia kilku z nas (w dodatku nie tych, którzy rzeczywiście byli tego pochodzenia). Ja miałem się nazywać naprawdę Bobro-

wer, a Sokółowski — Solowiejczyk (w kole przyjaciół zresztą przez kilka lat przyjęło się tak go nazywać). Znaczenie poważniejszy charakter miało zadenuncjowanie przez konserwatywny „Czas” (ongis krakowski, wtedy już warszawski) czterech z nas jako krzewicieli propagandy „bliskiej ideologii komunistycznej”. Dotyczyło to, oprócz mnie, Józefa Krzyżkowskiego i dwu innych kolegów. Ja puściłem sprawę mimo uszu, ale pozostali wytoczyli proces, pragnąc zapobiec dalszym atakom. Znający jako ekspert prof. Stanisław Grabski orzekł, iż pokrewieństwo ideologii jest niewątpliwe, natomiast sąd uznał szczęśliwie, że karalna jest działalność komunistyczna, a nie wyznawanie idei. [...]

Jak wspominałem, w okresie mojej pracy w Ministerstwie Rolnictwa i Reform Rolnych ministrem był Juliusz Poniatowski. Jego poprzednicy — niekompetentni i obojętni na los mas chłopskich — doprowadzili do tego, że ministerstwo wzięło zamarło, interesując się tylko sprawą oddłużania wielkiej własności i premiami wywozowymi na zboże. Poniatowski dokonał prawdziwej reanimacji ministerstwa, nadając mu nowy kształt, styl pracy, a przede wszystkim program. Program, mający na oku interesy mas chłopskich, ale równocześnie nawiązujący do szerszych rozważań o kierunku rozwoju gospodarczego i społecznego kraju.

Zadaniem podjętym przez ministra i jego zespół było nie tylko ożywienie tradycyjnej działalności resortu, ale rozszerzenie zakresu tej działalności. Punktem wyjścia tego programu była świadomość skali monstrualnego przedłużenia rolniczego kraju. Józef Poniatowski (brat stryjeczny Juliusza) oszacował liczbę tych, którzy mogliby odejść ze wsi bez szkody, bez zalamania produkcji, na przeszło 1/3 ogółu rolników. Była to liczba przesadzona. Ankieta IGS dała znacznie niższy procent zbędnych, ale nie można lekceważyć szacunku Józefa Poniatowskiego, który łatwo byłoby obniżyć, wprowadzając obok zbędnych kategorię nie w pełni zatrudnionych. Jakkolwiek by było, sprawa miała wymiar rzadko spotykany we wschodniej i centralnej Europie. Z tą konstatacją trzeba połączyć drugą, dotyczącą niskiej produktywności rolnictwa, wynikającej stąd, iż z wyjątkiem części zachodniej, ominęła Polskę nie tylko rewolucja przemysłowa, ale także rewolucja rolnicza XIX w. Na dwóch rolników przypadła w Polsce jeden z ulamkiem konsument miejski, podczas gdy na rozwiniętym Zachodzie proporcje te należałyby odwrócić, a często ponadto podwoić.

Z niewiary w zbawienie gospodarcze przez dopływ kapitału zagranicznego i z odrzucenia ewentualności trwania nędzy wiejskiej przez dziesięciolecie wynikała

konceptcja Poniatowskiego

polegająca na poszukiwaniu dróg rozwojowych kapitału-oszczędnych i pracochłonnych. Dotyczyło to nie tyle rozdziału nakładów inwestycyjnych między przemysł i rolnictwo, co rozdziału wewnątrz rolnictwa pomiędzy ziemiaństwo i wieś chłopską. Poniatowski i „poniatowszczyki” odrzucali lansowany uparczywie pogląd o wyższej produktywności polskiej gospodarki folwarcznej. Można było bowiem wykazać, że dzięki wykorzystaniu każdego skrawka ziemi i większemu rozwojowi hodowli gospodarstwa chłopskie z całości swego obszaru wytwarzały produkcję większą niż folwarczne, mimo wyższej w tych ostatnich wydajności pól z poszczególnych upraw. Pozorna przewaga gospodarstw folwarcznych była także produktem uprzedmiotowienia. Chłopska wieś poza kredytem parcelacyjnym właściwie nie korzystała z kredytu zorganizowanego, natomiast udzielane ziemiaństwu długoterminowe nisko oprocentowane kredyty przekraczały 33 proc. ich ka-

Tadeusz Mencel-historyk

Albin Koprucki

pitatu ziemi. To samo dotyczyło zresztą wielu innych dziedzin, że wspomnę tu o zmonopolizowaniu rentownej uprawy buraka cukrowego, prawie niedostępnej dla chłopów. Tyle o przywilejach, ale podobnie należało spoglądać na sposoby zapewnienia wzrostu produktywności. Analizy dokonane w ministerstwie wykazały, że podniesienie poziomu zainwestowania w całej Polsce do poziomu Poznańskiego wymagałoby wydatkowania paroletniego dochodu narodowego. Rzecz jasna, że osiągnięcie wzrostu produkcji w gospodarstwach chłopskich, dysponujących „rezervą” przeludnienia wiejskiego, mogło się dokonać niepomiarnie taniej, a zatem było znacznie bardziej realne. [...]

Z tego okresu chciałbym przytoczyć kilka obrazków, które utkwiły mi szczególnie w pamięci. Dotyczyły wprawdzie konkretnych, ale pozwały czynić szersze spostrzeżenia. Jeden z nich to rozmowa z działaczem chłopskim (bodajże posłem), który m.in. powiedział mi: „Mam pięciu synów. Przemysł z nas zdiera skórę, ale niechby tak było, byle mi wziął do pracy ze dwóch z tej piątki”. Albo raport Kuncewskiego [pracownika ministerstwa — red.] po powrocie z karpackiej wsi, która zasypana przez wyjątkowe opady śnieżne, odcięta była od świata przez bodaj dwa tygodnie: „Okazało się we wsi, że dzieci już od paru dni nie nie jedzą, natomiast krowy są jeszcze w nie najgorszym stanie. »Bo bydło nie wytrzyma tyle, co człowiek« — twierdzili chłopcy”. Inny fakt to wykrycie, że w województwie poleskim (do którego bardzo rzadko mogli jeździć urzędnicy ministerstwa rolnictwa z powodu groźby Kostka Biernackiego, iż zostaną zamknięci krowy w czasie udoju nie były przywiązywane, co powodowało, że średnio co dziesiąty szkopolek mleka był wylewany. Przyszło mi wtedy na myśl, że może jest to jakieś dziedzictwo stepowej przeszłości. [...]

Przez kilka tygodni zaprzętała mnie, i to bardzo, sprawa, która mogła być groźna, a przybrała formę właściwie humorystyczną. Z inicjatywy posłanki Prystorowej została zgłoszona i uchwalona przez większość Sejmu ustawa o ograniczeniu uboju rytualnego. Ta bezmyślna złośliwość w stosunku do Żydów mogła być groźna dla rolnictwa. Ustawa pozwalała na ubój rytualny tylko w takim procencie, jaki Żydzi stanowili wśród ludności. Otóż z gospodarczego punktu widzenia groźba wiązała się z tym, że oczywiście nie jedząc mięsa wieprzowego, Żydzi stanowili znacznie większy procent konsumentów mięsa wołowego. Ponadto tradycje rytualne powodowały, że ludność żydowska konsumowała tylko przody (zady były uważane za „trefne”), tak że koniec końców żydowska konsumpcja tego typu mięsa osiągała zaledwie połowę rynku. Gdyby przepisy ustawy zostały rygorystycznie wykonane, to spożycie mięsa przez ludność żydowska mogłoby, skrajnie biorąc, spaść sześciokrotnie. Stanowiło to realną groźbę załamania rynku z klęskowymi skutkami dla chłopów, którzy byli głównymi dostawcami tzw. mięsa wołowego (tzn. starych krow).

Po długiej walce z tym projektem Ministerstwo Rolnictwa musiało ustąpić i ustawa przeszła większością głosów. Ku zdumieniu antysemitów zaproponowaliśmy, aby nam powierzono jej wykonywanie. To zadanie przypało mi i w konsekwencji wiele godzin spędziłem na rozmowach nie tyle ze specjalistami od handlu i uboju, co z rabinami i urzędnikami mego departamentu. Po przelamaniu wstępnej nieufności znaleźliśmy wiele sposobów przystosowania się do ustawy lub jej obejścia, łagodząc jej skutki przez przepisy wykonawcze. Ubocznie nauczyłem się wtedy bardzo dużo o świecie, obok którego żyłem, nie znając go — świecie rabinów, rzekawo rytualnych, chasydów i małych handlarzy żydowskich: zarówno nędzarzy sklepikarzy, których kapitał ankietą oszacowała na sto złotych, jak i tych (głównie wiejskich, na kresach wschodnich), którzy w drodze przysięgi u rabinów zapewniali sobie monopol zakupów i sprzedaży w pewnych wsiach lub w pewnych towarach (chazuka) Wyżej opisana dziwna działalność muszę zaliczyć do bardzo istotnego elementu w pracy mego departamentu, a mianowicie — obrony mas chłopskich przed skutkami kryzysu, które w warunkach kartelizacji przemysłu i jego wysokiej ochrony celnej, sztywności podatków i obciążenia wsi prywatnymi długami, często lichwiarskimi (z kredytu zorganizowanego chłopska wieś korzystała w minimalnym stopniu), przeciągnęły się bardzo długo.

(cdn.)

W DNIU 10 grudnia 1983 roku w Instytucie Historii UMCS odbyło się spotkanie — przyjaciół, kolegów, wychowanków i współpracowników — z profesorem Tadeuszem Mencel. Okazją ku temu stał się specjalny tom studiów i rozpraw dedykowany profesorowi na jego 70-lecie urodzin i ponad ćwierćwiecze pracy naukowej w tej uczelni. Tom wydany został w serii Humaniora „Annales UMCS”. Oczywiście nie jest moją intencją prezentowanie jego zawartości treściowej, ale nie będzie od rzeczy, gdy wspomnę, że znalazły się tu opracowania historyków z Warszawy, Krakowa, Poznania, Łodzi, Torunia oraz z dwu lubelskich uniwersytetów. W wydawnictwie pomieszczono także artykuły wychowanków, uczniów i współpracowników profesora wraz z pełną bibliografią jego prac.

Związki Tadeusza Mencela z Lubelszczyzną i Lublinem datują się od czasów drugiej wojny światowej i okupacji. Jego losy w tych latach są podobne do życiorysów tysięcy Polaków po utracie niepodległości w 1939 r. Najpierw przedostał się na Węgry, potem do Francji, gdzie zaciągnął się do tworzonej tam Armii Polskiej, a następnie brał udział w walkach podczas napaści hitlerowskiej na ten kraj. Dostał się do niewoli; przebywał najpierw w obozie jenieckim we Francji, a potem w Lambinowicach, skąd w połowie 1941 r. udało mu się wydostać na wolność. Wtedy to znalazł schronienie i pracę w cukrowni w Opolu Lubelskim. Po wyzwoleniu przez pewien okres pracował w lubelskich szkołach średnich jako nauczyciel; odpowiednio kwalifikacje zdobywał już w czasie okupacji, w trakcie tajnego nauczania.

W 1947 r., po wcześniejszym nawiązaniu kontaktu ze swoim mistrzem, prof. Adamem Skalkowskim, i przeniesieniu się do Poznania, doktoryzował się pracą pt. „Feliks Lubieński (1752—1848), minister sprawiedliwości Księstwa Warszawskiego”. Swoje zainteresowania naukowe, które krystalizowały się podczas studiów historycznych w Uniwersytecie im. A. Mickiewicza w Poznaniu w latach 1931—1935 na seminarium właśnie prof. A. Skalkowskiego wokół problematyki Księstwa Warszawskiego, pogłębił jeszcze przed wybuchem wojny. Dzięki uzyskanemu zasiłkowi z Funduszu Kultury Narodowej mógł przeprowadzić gruntowne badania materiałów źródłowych do tej epoki w archiwach, bibliotekach i zbiorach prywatnych w kraju oraz w archiwach i bibliotekach drezdeńskich. Jednocześnie, pracując w Wojskowym Biurze Historycznym w Warszawie, intensywnie przygotowywał rozprawę doktorską na wyżej wspomniany temat. W wyniku badań i studiów jeszcze przed wojną sformułował w zasadzie zarys tezy doktorskiej oraz opracował przekazany do publikacji na wiosnę 1939 r. debiut naukowy w postaci artykułu pt. „Założenie Archiwum Ogólnego Krajowego w Warszawie w 1808 r.”. Wybuch wojny pokrzyżował jednakże plany wydawnicze i uniemożliwił zakończenie przewodu doktorskiego. Dopiero po wyzwoleniu mógł T. Mencel do realizacji tych zamierzeń powrócić. Dzięki szczerliwemu zbiegowi okoliczności, z zachowanych i ocalałych fragmentów przygotowywanej rozprawy doktorskiej, materiałów i notatek opracował ostatecznie dysertację doktorską. Wspomniany artykuł również się zachował i ujrzał światło dzienne dopiero w 1948 roku.

Swoją pasję badawczą i powołanie naukowe, refleksję intelektualną i erudycję T. Mencel poświęca bez reszty wyświetlaniu i odkrywaniu kwestii nie dość rozpoznanych w naszych dziejach porobiorczych, koncentrując się przede wszystkim na pierwszym okresie po utracie niepodległego bytu państwowego w końcu XVIII wieku, na latach Księstwa Warszawskiego, dążeniach narodowyzwoleńczych i wielkich zrywach Polaków podczas powstania listopadowego i styczniowego. Nie stroni także od dociekań na temat przesłanek odzyskania niepodległości w 1918 roku, umieszczając je w ciągu zrywów demokratyczno-niepodległościowych narodu w całym okresie zaborów. Przy tym — co jest charakterystyczne w analitycznych, niezwykle

starannie udokumentowanych źródłowo pracach profesora — interesują go mechanizmy zachowań, postaw klas i warstw społecznych, a także ludzi w rozległych i wielowątkowych uwarunkowaniach społeczno-ekonomicznych, politycznych i prawno-ustrojowych. Koncentruje się głównie na społeczeństwie polskim w dobie porobiorczej, na jego losach i dążeniach do zmiany istniejącego porządku tak w sferze politycznej, socjalnej, jak i prawno-ustrojowej.

W pracach T. Mencela dostrzec można zarówno tendencję romantyczną porobiorczych narodowych, jak również nurt drugi, wyrażający się w żmudnym trudzie codziennym nad pomnażaniem substancji materialnej oraz duchowej narodu i społeczeństwa. W obu przypadkach ukazuje dążenia wybita się na niepodległość i „narastających możliwościach oraz przedsięwzięć zmierzających do przywrócenia własnej państwowości” — jak napisał jeden z recenzentów jego podsta-



wowego dzieła „Galicja Zachodnia 1795—1809. Studium z dziejów ziem polskich zaboru austriackiego po III rozbiórce”, wydane przed kilku laty przez Wydawnictwo Lubelskie. Wydaje się, że ten nurt zainteresowania naukowych profesora, który dotyczy walk narodowyzwoleńczych, w tym w szczególności spisków konspiracyjnych i działań powstańczych na Lubelszczyźnie i Podlasiu w XIX wieku oraz dziejów Księstwa Warszawskiego i Galicji Zachodniej, że właśnie ów obszar miał być podstawowy kierunek jego naukowej dociekliwości i dorobku — na trwałe wpisane do naszej historiografii.

Wyjątkowe miejsce w badaniach naukowych T. Mencela zajmuje Lublin i Lubelszczyzna, które zawdzięczają mu wiele interesujących studiów i rozpraw, wprowadzających ten mało poznany dotychczas region do naszej historiografii. Dzięki jego pracom — weryfikującym obiegowe sady, czasem wręcz uproszczenia — problematyka regionu weszła do obiegu naukowej informacji.

Analityczne i źródłowe opracowania profesora z zakresu powstania listopadowego i styczniowego, nie tylko w odniesieniu do działań militarnych, poczynił konspiracyjnych i władzy powstańczej, zwracając także uwagę na uwarunkowania społeczno-gospodarcze i topograficzne tego regionu. Warto również wspomnieć, iż T. Mencel znacznie poszerzył lub na nowo określił rolę wybitnych przywódców powstańczych, żeby wymienić tylko W. Lewandowskiego, R. Rogińskiego czy K. Morozewicza.

Nawet tak sympatyczna okazja nie upoważnia przecież do szczegółowej analizy, a tym bardziej wartościowania tego pisarstwa historycznego, odznaczającego się różnorodnością tematyczną, wzorową dokumentacją źródłową i komunkatywnością. Należy natomiast choćby wskazać na bardzo wybitne zasługi profesora w pracach nad syntezą dziejów Lublina i Lubelszczyzny. W pierwszym przedpunkcie jest on współautorem tomu I dziejów na-

szego miasta, natomiast co się tyczy historycznej syntezy Lubelszczyzny, której tom I ukazał się pod jego redakcją, trudno przecenić trud organizatorski i naukowy, włożony przez niego w wydawnictwo. Będąc autorem obszernego wstępu, uzasadnił w nim koncepcję syntezy, założenia metodologiczno-konstrukcyjne i metodę opracowania. Spod jego pióra wyszła także bardzo nowatorska i odkrywcza charakterystyka źródeł i literatury do całego okresu dziejów regionu. Nade wszystko jest autorem części syntezy zasyntetyzowanej: „Między powstaniami 1831—1863”, w zasadzie — bardzo obszernego studium, które stanowić może samodzielną monografię. Dodajmy, że studia syntetyczne i analityczne nad losami tego regionu w pierwszej połowie XIX wieku, dotyczące problemów niezwykle ważkich, w ujęciu profesora znacznie wykraczają poza wąską pojmowaną regionalizm. Do tego nurtu należą też prace i badania, które T. Mencel intensywnie prowadził nad przemianami, jakie dokonywały się na wsi lubelskiej w dobie międzypowstańczej w zakresie społeczno-gospodarczym, prawnego położenia chłopów, ustroju rolnego i organizacji stosunków wiejskich.

Wreszcie należy wspomnieć, że profesor jest powszechnie cenionym znawcą archiwistyki i archiwoznawstwa. Przez wiele lat badania naukowe łączył z konkretną praktyką archiwalną podczas pracy w państwowych archiwach Poznania, Zielonej Góry czy Lublina (gdzie był dyrektorem w latach 1955—1961). Jego prace naukowe z zakresu historii polskiej archiwistyki, publikowane na łamach krajowych czasopism, w pracach zbiorowych lub referowane na licznych zjazdach, sympozjach i konferencjach naukowych — stanowią bardzo poważny wkład w rozwój tej dziedziny wiedzy.

Trzeba też wiedzieć, że profesor jest wytrawnym znawcą i edytorem źródeł do dziejów Polski porobiorczej, w tym tak kapitałowego wydawnictwa jak Protokoły Rady Stanu Księstwa Warszawskiego (początkowo z B. Pawłowskim, a obecnie samodzielnie).

Profesor od momentu podjęcia pracy w uniwersytecie bardzo aktywnie uczestniczy w życiu naukowym i organizacyjnym środowiska. Przez wiele lat kierował Katedrą Historii Nowożytnej Polski, potem również i powszechnie. Był organizatorem i pierwszym dyrektorem Instytutu Historii. Piastował godność dziekana Wydziału Humanistycznego. Czynnym uczestniczy w pracach Lubelskiego Towarzystwa Naukowego i Polskiego Towarzystwa Historycznego, zasiada w Radzie Naukowej Towarzystwa Opieki nad Majdankiem oraz w Radzie Muzealnej. Z jego inicjatywą łączyć należy powstanie w Lublinie dwu czasopism humanistycznych: „Rocznika Lubelskiego” i „Zeszytów Majdanka”. Dodać trzeba, iż nie stroni on od pracy społecznej i aktywności obywatelskiej.

O ile przypominam te fakty, to między innymi dlatego, że uzupełniają one, w sposób jakże wymowny, naukową i dydaktyczną działalność w uniwersytecie oraz związki profesora z polską nauką historyczną w kraju. Dodam przy tym, że przez seminarium magisterskie, które prowadził, przewinęła się grubo ponad setka młodych miłośników historii.

W piśmarstwie historycznym Tadeusza Mencela, w jego naukowych zainteresowaniach, które wyniósł z seminarium A. Skalkowskiego, a następnie z kontaktów z M. Handelsmanem, dostrzegam zwracanie się do tych okresów i momentów w naszych narodowych dziejach, które świadczyły wymownie o wielkiej sile moralnej narodu i społeczeństwa polskiego: porobiorczego i własnego państwa, walczącego o swoją narodową godność i uzyskanie niepodległego bytu w czasach porobiorczych.

Jerzego Harasymowicza pokój do pracy

UKAZANIE się wyboru wierszy jest zawsze okazją do sięgnięcia w głąb zasobów poetyckich, do przypomnienia kształtu całości. Zaczniemy jednak inaczej.

Gdyby przypadkowo wpadły nam do ręki dwie wydane w 1983 roku książki: „Cała góra barwinków” i „Wiersze sarmackie”. Gdybyśmy nie wiedzieli, że mamy do czynienia z wyborami poezji jednego autora. Albo: niechby to było wiadome z pewnym zastrzeżeniem — oto unieważniamy w pamięci cały bogaty dorobek, który w wyimkach, w okrucinach, obcięty prawem selekcji, nie dostał się na karty owych dwu tomów-wyborów. Jaki obraz twórczości Harasymowicza pozostałby wówczas udziałem czytelnika?

Wybór (obojętnie czy dokonywany przez samego autora czy przez osoby postronne) prawie zawsze stawia pod znakiem zapytania słuszność miejsca zawartych w nim utworów. Zdarza się, iż przynosi zbyt dużą rozpiętość problematyki, wizji poetyckiej, elementów stylistycznych, konstrukcji. Mając stwarzać harmonijną mozaikę podrzuca odbiorcy pojedyncze kamyki. Zdarza się też coś odwrotnego: sprawca wyboru, wytyczając klarowną drogę przez rozległe tereny pisarskich dokonań, świadomie lub nieświadomie zacieśnia horyzont. Proste równoległe tej drogi zbyt gładko zamykają perspektywę zubożając doznania kroczących śladami. Dlatego wstępne zdania w trybie warunkowym, których mogłoby nie być w tym omówieniu. Lecz obracamy się przeciw

wokół niewidomych dwóch z napisem złotym na plecach

Jerzy i Harasymowicz, którzy walczą bez słowa Dwóch? Skromność jest tu przesadą. Bowiernie tak naprawdę obracamy się wokół Harasymowicza przynajmniej dziesięciorga imion, wcielen, kształtów stylistycznych, kulturowych odwołań, twórczych pokrewieństw. Tak naprawdę tytuł tych uwag należałoby poprawić: „Jerzego Harasymowicza pokoje do pracy”. Tyle, że jest to zawsze ów w czepku urodzony poeta, któremu

Stoły przynoszą z lasu
całe góry metafor

Czegóż bo krytyka nie przypisywała, słusznie lub niesłusznie, autorowi „Cudów”, „Powrotu do kraju łagodności”, „Przejęcia kąpieli”, „Wieży melancholii” i wielu następnych książek poetyckich. Ile sprzecznych ocen towarzyszyło tej twórczości, ile czasem nieporozumień. Jakich patronów przydawano poecie, jakimi nurtami sztuki kazano płynąć jego wierszom. Już z okazji pierwszego tomu: „Cuda”, dowcipnie odnotował Kazimierz Wyka: *Bo gdyby uwierzyć skojarzeniom dostrzeżonym przez krytyków [...] poezja Harasymowicza byłaby jakimś erudycyjno-eklektycznym zlepkiem. I dodał słowa, które można rozciągnąć na cały późniejszy dorobek poety: Droga po meandrach fantastycznej mapy rzeczywistości, przez wielu poetów i malarzy przebyta już droga — w tej urzekającej poezji zostaje jakoś podjęta na nowo i po swojemu przebyta.* Dodajmy: także uzupełniona i wzbogacona.

Warto wylizywać bez porządkowania i polonistycznej skrzętności kilka przynajmniej określeń, które stopniowo zrastały się z tą twórczością i które najtrafniej ją obrysowują. Więc fantastyka pierwotna, dziecięca baśniowość, barwna wizyjność, liryzm, żart, groteska. Więc technika filmu rysunkowego, kalejdoskopowość. Więc elementy nadrealizmu, ale i realizm, i folklor, i dosłowność opisu. I nuty katastroficzne. Zakorzenie w historii i kulturze. W naturze i w sztuce. Można by długo jeszcze wymieniać, ale czy to konieczne? Jest faktem, że krytyk prawie z reguły podkłada autora pod własny schemat pojęciowy. Tworzy niejako pisarza na nowo według swoich reguł gry. Czasem ten zabieg odnosi się do całej twórczości, czasem do jednego tylko dzieła. Sprawdza się lub

nie sprawdza. Wygrywa autor albo krytyk, trzeciej możliwości nie ma. Wypada życzyć, aby zwycięstwo było po stronie autora, aby nie zastygł jak posąg na cokole domniemań i twierdzeń krytyki. Na szczęście poeci bywają niegrzecznymi dziećmi i lubią płatać figle. Wymyślają też wspaniałe zabawy, jak ta, która podsunęła niegdyś Harasymowiczowi znamienne słowa:

w końcu
w radomskim
ktoś musiał zbudować
czerwony mur surrealizmu

Harasymowicz należy niewątpliwie do twórców, którzy zaskakują, którzy zmieniają naskórek nie zmieniając jednak istoty rzeczy. I choć w odniesieniu do jego poezji krytycy często również stosowali formę zabawy np. w proroków wieszczących twórczą rezygnację poety, ogłaszających niebezpieczeństwo powrotów i wyjałowień, nudę powtórzeń, to jednak w ostatecznym rozrachunku konstatawali, że jest to poeta niespodzianek. Bo każdy następny tom wierszy wnosil coś nowego, mimo że zakres poetyckich doświadczeń obejmował elementy już znane. Elementy te jednak



Jerzy Harasymowicz
Fot. Marian Żyła

ustawiał pisarz w coraz innych sytuacjach wewnętrznych, w coraz innych relacjach między poezją a rzeczywistością, wreszcie w coraz bardziej pogłębionym porządku moralnym. Daleka jest droga od „Cudów” do „Pastorałek”, „Wierszy Bortnowskich” czy „Cudnowa”. Daleka, lecz wciąż przeleżała sama droga przez psychiczne i realne pejzaże, gdzie

Czarna skóra buków
w śnieżystym cieniu zawilców
połyskuje natchnieniem

Zarzucono Harasymowiczowi, że posiada wizję cząstkową, ale brak mu własnego widzenia świata. Ze jest w jego poezji wyobraźnia, lecz brak rygoru, światopoglądowego odniesienia, filozoficznego porządku. Ze brak pytań intelektualnych, głębszego nurtu moralnego. Ze przerost zdobniczości, że opisowość. Zawsze jednak podkreślano, przypomnijmy uwagę Jacka Trznadla, na czym polega jego oryginalność, własność niepodzielna i zasłużona.

Więc przede wszystkim wyznaczenie klucza z wiersza „Przedwiośnie” włączonego do tomu „Cała góra barwinków”:

Zostawiam zawsze Kraków i jego sześćdziesiąt kościołów
I ciągnę tu z wiosną gdzie cerkiewki jak zabawki
na górskich półkach
Ciągnę tu z tym swoim ruskim wyszywanym nazwiskiem
Z aniołem czarnym jak jaskółka

Cytat ten należy uzupełnić wierszem „Mój życiorys”:

Zyję z naturą
Jak ten wiatr przelotny
Na liści wiare

Niewiernych zaś odesłać do Słowa od Autora: *Mój wiersz naprawdę leży nad lemkowskią wioską. [...] Na stole mam lichtarz cerkiewny, lecz piszę po polsku. Należę do polskiej kultury i zarazem do unickiej cerkwi.*

Wydaje się, że te słowa i przytoczone fragmenty wierszy nie są niczym innym, jak własnym widzeniem świata, własnym credo poety, zanurzeniem się w pokładach polskiej natury i kultury. I jeszcze jedno: jest „Cała góra barwinków” także wyrazem podskórnego lęku o całość i suwerenność państwa natury zagrożonego przez cywilizację, choć nie wspomina się o tym *expressis verbis*.

Wreszcie pokłady historii. Gdy o niej mowa krok już tylko do drugiego wyboru, do „Wierszy sarmackich” Oryginalny to podręcznik nauczania ojczyźstych dziejów. Znakomitym wprowadzeniem do całości jest wiersz „Wawel”, w którym powtarza się wyznaczenie: *I jest codziennie większy Wawel we mnie.* Bo ta książka to bogata panorama polskości: od wspaniałych królewskich dziejów po zapis losu zwykłych szarych ludzi wrzniętych w kołowrót historii. Od kronik z przeszłości do dramatów, gdy *jesienne astry / padały pod seriami września.* Od animuszu przodków graniczącego z pieśnią ciche bohaterstwo współczesnych poecie. I ciągnę świadomość krwawych tragedii pokrytych już ziemią, puszcza, wodą. Zawsze powracające pytanie, na które tak trudno odpowiedzieć: *„I po, czyje tu być stronie”.* Wreszcie stwierdzenie:

I życia całego nie starczy
żeby to rozplatać wszystko
usprawiedliwić

To już nie tylko historia, to filozofia historii. Ze dużą wagą przywiązuje Harasymowicz do doskonalenia warsztatu, o tym świadczy fakt, iż wiele utworów pomieszczonych w obu wyborach uległo daleko idącym zmianom, często skrótom. Więc dążność do kondensacji, do wydobywania ze słowa maksymalnych możliwości znaczeniowych, co tym trudniejsze, że skrzęta się te poezje bogactwem obrazów, sytuacji, słownictwa, że sięgają nie tylko zasobów rdzennej polszczyzny, ale i języka „pogranicza”.

Na początku pytaliśmy, jaki obraz dorobku Harasymowicza wyniosłby czytelnik, gdyby mógł przeczytać jedynie owe dwa wybory. Czy zubożony? Zubożony o co? Odpowiedź musi być w pewnym sensie twierdząca. Nie znajdziemy tu ani radosnego ani ciemnego świata wyobraźni dziecka, nie znajdziemy nadrealistycznego liryzmu typowego np. dla „Tańca garbusów”. Nie został uwzględniony świat dziwnych stworów spowinowacanych z naturą. Pominęto dosłowność folkloru wsi i przedmieścia, porzucił poeta wytarty płaszcz cygana i wagabundy, choć pozostał w dziurawym swetrze wędrowca po górskiej krainie, która coraz bardziej przemieszcza się na wschód. Widzenie świata jakby się uprościło, choć jednocześnie zyskało głębsze tło. I jeszcze coś. Kazimierz Wyka napisał kiedyś, że twórczością Harasymowicza rządzi nie podmiot liryczny, ale „ja” autorskie, osobiste, psychiczne. W obu omawianych książkach, a szczególnie w „Całej górze barwinków” dochodzi ono do głosu niejako programowo. To już sprawa dojrzałości i odpowiedzialności. Poeta, który pragnął „Na świat zarzucić płachtę cudów” odnajduje swój „Pokój do pracy”. Wyznaje:

Dawno tu nie byłem
przyjechałem

Więc jednak nie zubożenie. Raczej wybór postawy.

Elżbieta Cichła-Czarniawska

Jerzy Harasymowicz: *Cała góra barwinków* (wybór liryki). Wyd. Lit., Kraków-Wrocław 1983.
Jerzy Harasymowicz: *Wiersze sarmackie*. Wybór: Krzysztof Lisowski. Wyd. Lit., Kraków 1983.

Tworzę, więc jestem

RANK dzieli ludzi na normalnych, czyli przystosowanych, nerwicowych i twórców-artystów. Normalna jest taka jednostka, która zrezygnowała z własnej tożsamości: zaakceptowała wolę grupy. Jednostka, która nie potrafi dostosować się do obowiązujących — oczekiwanych wzorów, a nie ma przy tym możliwości utwierdzenia swej woli, staje się chora. Jej dziełem sztuki jest nerwica. Własną wolę afirmuje wyłącznie twórca-artysta. Ten właśnie sposób samo-realizacji preferują bohaterowie szkiców Matyldy Welny. Ci odmieńcy, pasjonaci, obsesjonści, fanatycy swego umiłowania rozumieją doskonale, iż tylko fantazja, stanowiąca przedmiot nielicznych, jest źródłem pełnej autonomii. Ona i tylko ona potrafi ujrzeć w naturze to, czego nie dostrzeże w niej wzrok cielesny, by w szczytowych przejawach dać świadectwo temu co nieskończone, wieczne.

Tom otwierają barwne, ze swadą opowiedziane epizody okupacyjne, w których wojna we wspomnieniach naczących świadków zyskuje wymiar ludz-

ki („Szpitala lubelskie”, „Ziemia chodziła”, „Granatowe pantofelki”). Znajdziemy tu wiele żywych, anegdotycznych fragmentów sprawujących, iż czyta się te relacje o życiu gorączkowym, pospiesznym, zaangażowanym bez wysiłku („Poezja nie zna granic” — wspomnienie o Broniewskim). Znajdziemy rozczulające „provincjalki” o uroku staroświeckiej broszurki — intrygująca opowieść o pogrzebie syna Stefana Zeromskiego, Adasia na cmentarzu należącym do poetyki w nastroju szkice traktujące o historii portretu Józefa Czechowicza pędzla Zygmunta Bartkiewicza („Sliwki”). Książka uniejętnie kokietuje dyskretnym powiewem szerokiego świata — „Apollinaire w Salonie Jesiennym” oraz „Indianie i Séraphine”, erudycyjna gawęda przybliżająca fenomen Séraphine Louis Maillard zw. Serafiną z Senlis, samorodnej malarki — słuchającej i zakonniczki, którą dla sztuki odkrył Wilhelm Uhde. Autorka z jednakową pasją kreśli portrety zapaleńców z Lubelskiego Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych, owych niewolników palety (Bolesław Hemperek, Amelia Kwiatkowska, Jadwiga Polepszak, Alina Wawrzosek), jak też innych charakterystycznych postaci Lublina i okolic (Stefan Wojciechowski — bibliofil). Tajników psychologii twór-

czości, roli inspiracji w sztuce dociekają szkice „Życie i śmierć artysty” (o Edwardzie Nadulskim) oraz „Liryk przestrzeni” (o Konradzie Jarodzkim). Wątpię, więc jestem — dowodził św. Augustyn. Myślę, więc jestem — skonstruował Kartezjusz. Dopiero Kamiński skorygował sądy obu uczonych mężów krzyżując: *Tworzę, więc jestem* — pasjonaci, którzy sprowokowali książkę M. Welny maksymą ową przyjęli jako swoją jedyną Ewangelię.

Człowiek powinien siebie zbawiać, jak tylko chce: poezją, filozofią, religią bądź sztuką — powiedział Ernest Renan. Matylda Welna zdecydowanie opowiada się za sztuką właśnie, gdyż nie od dzisiaj wiadomo, iż płodne kłamtwo artystów więcej jest warte niż kulejące prawdy naukowców. I to nawet wtedy, jeżeli niektóre ich gesty wydają się być bezsensowne. Być może w niedorzecznym świecie jedynie gesty bezsensowne mają jeszcze sens. Nie próbujmy zatem nawracać szaleńców i nawiedzonych, tolerujmy ich fobie, albowiem jak zauważa Julio Cortázar: *Formy szczęścia są rozmaite i nikogo nie powinno dziwić, że mieszkańcy kraju rządzonego przez generała Orangu uważają się za szczęśliwiarzy, od kiedy w ich krwi zaczęły pływać złote rybki.* („Opowiadania o Eukaszu”).

Marek T. Barański

Matylda Welna — „Szaleńcy i nawiedzeni”, Wydawnictwo Lubelskie 1983.

Eda Ostrowska

Już przypominam sobie

znałam kiedyś kobietę
która kochała się w maku
miała bardzo piękną twarz
choć nigdy jej nie widziałam

Jeśli wierzymy historii
zamroczonej w smukłych kieliszkach liter
to jakim sposobem
mam oprzeć się własnej rozpacz

ujrzałam kobietę
przygniecioną stalową konstrukcją maku
uwolniłam ją od samej siebie
i lżejszą nad kamienie pluące krwią
uniosłam do wsi

zanim przyszedł Ci panowie z brygady ratunkowej
dziewczyzna zsiadła się w obraz
chłodnym płótnem łagodząc ból

a miała w sobie
gwałtowność księżycy i okrucieństwo wodoru
choć
była zieloną jak rzeka
i tkiwiej płynęła niż najczulsze światło

Dopóki słońce się świeci
a Maria się myje i piersi jej pachną splukanym
mydłem

zostaną
by zajrzeć w zwierciadło i
przepowiedzieć sobie z krótkich włosów i serca
klaszcącego w głogu

bliskie nieszczęście



Rys. E. Inglot

I wargi obsuną się wzdłuż sukni bez szelestu i
wiatr na dziedzińcu ma suknię zniewieści

rzucę zwierciadłem o pień włosny

Dzwon się przechylił
kobieta upadnie twarzą na siebie
rozdzieli je jabłko z jej szumiącej krwi
z języka drgającego u ramion i pragnienie śmierci
nad trzask leśzczyny
nad spadek sitowia wzdłuż namydlonych piersi
Marii

Proszę miłcz
wiosna w Tobie zaogni dziewczynę
nadepniesz na światło poczujesz ból

a ja już w fiolektach
już nawet nie tłuczenie światła

sprawia Ci ból Mario zmyj mydło

Dla wszystkich którzy grają i śpiewają

Nie trzeba płakać
dość
że już płacze gitara
i kopulują węże

w kolankach liści płynię krew

i po co śpiewać

mówisz że kocha Cię dziewczyna
i ma serce pachnące jak korzeń

topi złoto na struny smaży placki grzebie w
popielniku

a Dobre Żywiły hałasują

i nawet nie wiesz
że wszystko co dobre pochodzi od kwiatów
i miesza się z mlekiem zaszczytów drzew

... graj dalej
nie jesteś dobry ani piękny

ale nie martw się: masz w sobie coś z promienia

DEBIUT

Ludzie muszą wszystkiego doświadczyć sami,
inaczej nie nie rozumieją.

TRWAM teraz w tej uporządkowanej pustce, która jest nieodwrotnie konieczna, jeśli coś ma wkroczyć, wdrzeć się w nas skutecznie i naprawić. Nie może wystąpić, stać się plastycznym, ukazać się na zewnątrz wyraźnie z całą mocą, wewnątrz doczekać się wnikliwego rozpoznania, jeśli nie będzie otoczone pustką, a tym samym nie stanie się poniekąd rzadkie i odosobnione. W ścisłości nie ma prawdziwego życia, a tam właśnie odnalazłem Alnę. Miała nade mną władzę. Wiedziała o tym i potrafiła to wykorzystać. Wesołe dzinsy, wystające spod kretonowej ukienki, dawno już wchłonęły zapach koloru lata, a wszystko razem spłósnęło ostatecznie kasztanowymi włosami, ścigało mnie, z pomocą dłoni i silnych ramion, z jednej strony ulicy na drugą, zmuszało do opuszczania i wkraczania na stopnie kolejnych autobusów, albo lokowało się tuż obok na wiklinowej macie, już do ogarnięcia z bezpośredniej, najbliższej odległości, zmęczona spacerem; zapatrzona w dno pustej czarki po herbacie, kończąca lub rozpoczynająca rozmowę, czy milczenie, czasem seana, zawsze jednak — nareszcie — bezbronna, Alna. Jej obraz faluje, rozmywa się w niepokojącej wielobarwnej plamie, by przed zniknięciem obudzić jeszcze jakieś wrażenie dotykanych stopa mchów, a zaraz potem te ulgę rozstępujących się pod plecami ognistych języków piasku, co jak sztylety, opisane granicami wąskich łach, tna plastry łak i pół porozlepianych na okolicznych wzgórzach. Są: zieleń, żółć, czerwien, zapalone słoneczną powodzią i jest ścieranie się barw, są zmiany w ostrości widzenia, stąpające cienie, lustro odległego jeziora, szum pracującej nie odepodal autostrady. Wyglądam znajomych oczu. Zamknięte, odpoczywały pośród natłuszczonej kremem twarzy, na wprost ognistej kuli słońca, u szczytu ciała, co w topless spoczywa już przygotowane, szczęśliwe, chłonące kolor i wilgoć powietrza rozpalającego się dnia. W tym miejscu kończy się lek, ręka nie sięga po butelkę z coli, nie ma trzasku rozdieranego papieru, milczącego odliczania gwałtownego przekłnięcia. Ranek został gdzieś daleko, we

wnętrzach, okrojony rytuałem sprzątania, zaskoczony telefonem, dopelniony nasłuchiwaniami, a potem nerwowym oczekiwaniem pierwszych objawów podwyższonego nastroju. Znów tylko radość napierająca ze wszystkich stron. Jest sierpień i jest Alna.

Ekscentryczność jej przyjaciół była jak pulsowanie sztucznie podwiązanej żyły życia, którą być może podłączono dlatego, ponieważ na całą sieć nie starczało już krwi. Długie przetłuszczone włosy, wytarty dzins ubrań, co pod swobodą i płynnością ruchów wypychających go ciał pierwszorzędnie maskował jałowość wnętrza właścicieli, ich bezwolność, przylepność, pajęcza życzliwość dla tego, co nowe, co z ew-

krzyczeń rozpaloną zielenią, chorą zielenią.

Kiedyś myślałem, że to muzyka jest drogą, która zaprowadzi mnie do Alny. Patrzyłem na nią, słuchając najszybszych nagrań Martinou, Gato Barbieriego, United Kingdom, a powolna przejrzystość pozwalała mi zanurzyć się w niej; muzyka obnażała ją w jakiś inny sposób, tworząc nową Alnę, nowe Alny, udostępniając wciąż inne tereny dla poszukiwań i niespodziewanych odkryć, abym mógł kochać jeszcze lepiej. Ale, podczas gdy w tej nadrzeczywistości zachwycałem się różnymi jej wcieleniami, nadszedł dzień, kiedy ujrzałem, że przed szyćchem Rousseau, w tańcu, czy stojąc przy

nierozumie dotykać i być tylko sama ze sobą, mieć ową kilkudziesięciogodzinną pewność, wykluczającą nasłuchiwanie zbliżających się kroków przytłumionych rozmów, odgłosów sprzątania czy kłótni, aby w spokoju oddać się zaletom: włączyć gramofon, chwycić książkę, przyciągnąć talerz z owocami.

Człowiek przepowiada sobie wydarzenia, wyobraża je sobie po kolei, poczynając od pierwszego spaceru z Alną, pierwszego pocałunku, poprzez tę barokową potrzebę zmuszającą do uzupełniania braków, aż do chwili gdy już cała pajęczyna jest utkana i można zaczynać coś nowego. Co nowego? We wszystkim musi być radość, jest potrzebna do życia jak powietrze. We wszystkim. Czy to będzie dobrze napisane opowiadanie, czy wruszająca mowa pogrzebowa, czy spontaniczna ucieczka w nieznane. Tylko ten, kto odczuwa radość, panuje nad sytuacją, i odwrotnie. Póki odczuwa radość, oty panuje nad nią; oto życie jeszcze raz pozostawiło mu swobodę ruchów. Owa radość jest rozkoszą, jeśli jej brak, to wtedy wiedza stoi w pustej przestrzeni, jak wypalony szkielec dachu. Ale poznanie wymaga, by każdemu pozwolić być takim, jakim chce być ze swojej istoty, nie szarpnąć go i nie targając, nie siekając, nie wygładzając i nie upraszczając, nie próbując tym bardziej w ogóle się go pozbyć.

Marek Dąbrowski

W orbicie niepokoju

nątr. Ta moc, która w bezpośredniej bliskości okazywała się zwykłą bezradnością, zapach wolności, z czasem coraz bardziej zalatujący cieniem i wilgocią starych kamieni, ów nie przekroczony jeszcze dwudziesty piąty rok życia, co wcale nie usprawiedliwilo widoku zahamowanych sylwetek kilkunastolatków, z osadzonymi na nich głowami starców o mózguach po częściowej autodestrukcji, wszystko to potrafiło zrazu przyciągnąć, rozwiać zmore samotności, strach w obliczu wielkomiejskiego kosmosu, ale na zbyt krótki jednak czas trzecha, czterech spotkań, na czas kolejnych rozmów, rwących się zaraz u swojego źródła, czy też jakiejś krótkotrwałej sublimacji marzeń, innego uczucia, jakie wywalała dobry proch, bliskości, wspólnoty. Tego potrzebowała Alna w swojej gonitwie za nowością, zmianą, fascynacjami, tego wypatrywała, by w tych coraz radszych momentach jej oczy — powiększone radością — mogły wprost

sztalugach zmienia się jeszcze bardziej. Mimo to czułem, że tylko taniec wywalała ją najbardziej z niej samej, dla tego jednego w swoim rodzaju widoku, tak migawkowego, jakiejś niepowtarzalnej przemiany przekroczenia własnego o sobie wyobrażenia, zanurzenia w wymagowanym świetle i z wolna — gdzieś między kolejnymi filiżankami herbaty, między przedpołudniową wycieczką za miasto i kolacją o jedenastej w nocy, pośród zamkniętego obiegu euforii i depresji, który napędzał tę bliskość mi istocie — nabierałem przy tym świadomości, że narkotyk odsłania swoją tajemnicę tylko bardzo umiarkowanemu, krótkotrwałemu użyciu, nigdy nalogowi.

Było w niej coś z kruchości życia i wiedziała, że wszystko rozplywa się niezmiernie łatwo, to znaczy czuła w swoim ciele tę delikatność, tę właściwą każdej dobrej chwili naturę bołńskiego szkła, które spada i rozsypuje się w pył. Czasem nie chciała więc

Skończyłem więc z moralizowaniem, bo to nie mogło nie drażnić Alny, zaniechałem stopniowo udzielania rad, gdyż wiadomo przecież, że choć często udziela się podstawowych rad, to jednak prawie nigdy nie można ich przyjąć, i nie przestałem jej kochać. Zmierzałem do skrócenia dystansu między nami, odcięcia tajemnej drogi w imaginację, ale w sumie bardziej chciałem niż to w rzeczywistości wychodziło. Pozostawała mi jej nadgrzyźlona przez codzienne zajęcia obecność i próby sondażu, gdy patrzyła naiwnie w moje oczy. Wiedziała prawie zawsze, kiedy opuszcza mnie żeby przygotować herbatę, a kiedy stanowi to zaledwie pretekst dla psychicznej potrzeby lyknienia jakiegoś specyfiku. Moje rozdrażnienie moje usiłowania nie mogły przyciągnąć nic lepszego, jak tylko rozpacz poczucie bezradności; rzadko pojawiała się takie ujęcie w drobnej rozrywce bo wcześniej czy później odzywała się pamięć konfrontowana z aktualnymi, kasającymi faktami.

Stałem przed wyborem, i podjąłem decyzję.

kamena 7

A więc to stąd ta „pani”, te spoj-
rzenia, te zapachy...
Uzucie ulgi. Zdecydowanie dobra
wiadomość.

Przez kilka dni porządkuje kabinę, ambu-
latorium, szpitalik. Elektryk uzupełnia za-
rówki w beczeniowej lampie, ślusarz mo-
duje do szotu, czyli ściany, butle z tlenem.
Przygotowane leki, oczyszczone narzędzia,
sa i pierwsi pacjenci. Teoretycznie każdy
z rybaków jest okazem zdrowia. Rybak,
żeby zarobić, musi pływać. Żeby pływać,
trzeba mieć świadectwo zdrowia. Ukrywa
się więc dolegliwości. Jakos to będzie. W
morzu odzywają się wrzody żołądka i ka-
myki w drogach moczowych, przypominają
o sobie wieloletni reumatyzm, rozsadza gło-
wę nadciśnienie. Zgłaszam kapitanowi ko-
nieczność odesłania jednego z rybaków do
kraju. Potrzebne długotrwałe leczenie szpi-
talne. W jaki sposób przebrnąć przed rejssem
przez komisję lekarską? Za kilka dni prze-
siądzie się na statek pływający do portu.

Zależnie od potrzeb jestem okulista,
laryngologiem, gastrologiem i każdym
innym losem, jakich dziesiątki produ-
kuje współczesna medycyna. Rybak,
jak przedwojenny chory, zgłasza się
po prostu do lekarza. Muszę zapom-
nieć, że istnieją analizy moczu, krwi
i cała masa innych badań, bez któ-
rych medyk lądowy czuje się jak ka-
leka.

Wspaniałą rzeczą na statku jest to,
że gdy ma się do kogoś interes, to
wiadomo, że ten ktoś jest. Nie słyszy
się typowej dla lądu śpiewki — nie
ma, wyszedł, nie wiem, czy wróci.

Połowy dobre, więc dopisują humo-
ry. Technolog, szef produkcji, pilnie
śledzi wyniki innych statków. Z za-
pisaną kolumnami cyfr kartką biegnie
prosto z radiostacją na mostek, by za-
meldować kapitanowi, że nadal utrzy-
mujemy się w czołówce. Zadowolony
kapitan pozwala mu w nagrodę za-
pisać się na herbatę.

Co kilka godzin z mostku pada ko-
menda:

— Bosman, wybieramy!
Napinają się kable, lekcy i cała ma-
sa innych lin. Obracają się wielkie
bębny wind tralowych. Uwijają się ry-
bacy pokładu. Najpierw trzeba odcepić
potężne blachy-pływaki rozwiera-
jące w wodzie skrzydła sieci, potem
ciężkie stalowe wózki dociskające pod-
borę, czyli dolną krawędź siatki do
dna, wreszcie przy pomocy dźwigów,
zwanych renerkami, unieść pękaty
włók do góry i wyspać rybę do luków
pokładu tralowego.

Gdy pokład już czysty następną ko-
menda:

— Bosman, wydajemy!
Po ślipie rufowym zjeżdża do wo-
dy sieć, by po kilku minutach chłonać
swą paszczą o wymiarach 40 na 60
metrów lawice srebrzystego błękitka.
Pełną parą pracuje przetwórnia. Kar-
tony z zamrożonymi filekami i tuszka-
mi oraz worki z mączką zapełniają ła-
downie.

Zarobki zależą od wartości produk-
cji. Jest ryba, będą pieniądze. Jest
ryba — to także dobry kapitan. Z ta-
kim można ruszać w następne rejsy.
Są mapy łowisk i ścieżek tralowych,
jest potężna elektronika, ale wszystko
zależy od nosa kapitana. Albo się go
ma, albo nie. W tym miejscu właśnie,
choćby wszystkie wydają się dobre,
należy wydać siatkę, w tym momen-
cie przyspieszyć, a w tym zwolnić ob-
roty śruby, teraz, a nie za chwilę,
przełożyć ster o pięć stopni w prawo.
Wszystko po to, aby zasypać pokład
rybą i być dobrym kapitanem. Wie
o tym kapitan Springer i ani na chwi-
lę nie opuszcza swego stanowiska przy
baterii monitorów. W napięciu śledzi
rozbiłki na małych ekranach, kręci
galkami regulatorów, przekazuje po-
lecenia trzeciemu oficerowi. I tak co-
dziennie przez 12 godzin wachty.

Po wydajnych dniach nagle klopa,
Hole kiepskie, w siatce zaledwie po
kilka ton. Pryska dobra atmosfera.
Konkurenci zmniejszają dystans. Za-
łoga przetwórnia szwenda się po statku.
Nie bawią wyświetlane w mesie fil-
my. Ludzie wypadli z rytmu pracy.
Rodzą się konflikty i sprzeczki. I jak
zwykle w takiej sytuacji bywa na
statku, zaczyna się tropienie Jonasza.
To on, Jonasz, jest wszystkim win-
ien. To przez niego ta bryndza. Po-
dejrzanych dwóch. Radzik i ja. To
mymy weszli przed tygodniem na
pokład „Delfina” Któryś z nas zauro-
czył rybę.

Radzik zawalony jest robotą po
swym niesumieinnym, odesłanym zresz-
tą do kraju, poprzedniku. Od rana do
nocy grzebie się przy rozłożonych na
czynniki pierwsze nadajnikach, rada-
rach, oscylatorach. Tu czyszczenie sty-
ków, tam wymiana podzespołu, regu-
lacja, strojenie, konserwacja. Zupel-
nie przypadkowo znajduje wciśnięte
w kąt swojej kabiny rozczłapane cho-
daki poprzedniego radioficera. Naj-
pierw radość, że wreszcie zniknie ta-
jemniczy fetorek, potem genialna myśl.
To jest Jonasz! Biegniemy na mostek.
Trzeci oficer włącza syrenę i na ko-
mendę chodaki fruną za burtę. Lewy
za lewą, prawy za prawą.

Drgnęło w monitorach. Rozbiłki
sygnalizują wejście ryby do sieci. Po
dwóch godzinach na pokład tralowy
wjeżdża ponad trzydzieści ton błękit-
ka. Życie na statku wraca do nor-
my. Kapitan odzyskuje humor, lepiej
smakują posiłki, ciekawsze są filmy,
a przy „momentach” rozlegają się
krzyki:

— Zatrzymać! Jeszcze raz... wolniutko!

(Dokończenie w następnym
numerze)
Janusz Perzyński

Z TEKI ANDRZEJA GRUNA



wych, które powinny tworzyć systemy
motywacyjne, sprzyjać wzrostowi za-
trudnienia oraz budowie i moderniza-
cji bazy wytwórczej i usługowej, tak-
że — poprawie zaopatrzenia materia-
łowo-surowcowego.

6 czerwca 1981 r. Rada Ministrów
podjęła Uchwałę nr 112 w sprawie
rozwoju drobnej wytwórczości, która
weszła w życie z dniem 1 lipca 1981 r.
Był to faktyczny początek wdrażania
reformy gospodarczej.

Cel uchwały stanowiło wciąż to sa-
mo: znalezienie najwłaściwszego i na-
leżnego miejsca dla drobnej wytwór-
czości. Chodziło więc m.in. o tworze-
nie sprzyjających warunków do pow-
stawania nowych zakładów drobnej
wytwórczości drogą wyodrębniania ich
z większych jednostek, organizowanie
różnego rodzaju spółek mieszanych:
państwowo-prywatnych, państwowo-
spółdzielczych, spółdzielczo-prywat-
nych. Chodziło także — uzasadniał
podjęcie uchwały Marek Wieczorek,
przewodniczący Zespołu XII do spraw
drobnej wytwórczości, usług i rzemio-
sła w Komisji do spraw Reformy Go-
spodarczej — o pełne i wszechstron-
ne wykorzystanie wszelkich istnieją-
cych surowców miejscowych, materia-
łów odpadowych, wtórnych, nadwyżek
rolnych, lokalnych możliwości zatrud-
nienia ludzi i innych podobnych ele-
mentów, umożliwiających wzrost pro-
dukcji i usług w jednostkach drobnej
wytwórczości.

Uchwała nr 112 wprowadziła daleko idące
zmiany w systemie ekonomiczno-finanso-
wym w przedsiębiorstwach drobnej wy-
twórczości, które miały gwarantować pełną
samodzielność, samorządność i rozwój na
zasadach samofinansowania. Jednostki drob-
nej wytwórczości zostały upoważnione do
samodzielnego ustalania cen (z wyjątkiem
artykułów objętych listą cenową i usług,
na które ustalano ceny urzędowe i regulo-
wane).

Uchwała nr 112 zapewniała wszystkim
przedsiębiorstwom gospodarczym jednolite
warunki działania, uprządkowała między in-
nymi jednostki drobnej wytwórczości także
do samodzielnej prowadzenia działalności
eksportowej i importowej oraz współpracy
kooperacyjnej w przedsiębiorstwach pa-

stwowymi, powiązanych z drugim obszarem
płatniczym. Jednostki drobnej wytwórczości
uryskiwały zezwolenie (koncesję) ministra
handlu zagranicznego na prowadzenie sa-
modzielnego i bezpośredniego działalności eks-
portowo-importowej, miały także moż-
liwość wyboru sposobu realizacji konkretnych
transakcji dewizowych (decydowało o
tym kierownictwo jednostki oraz samorząd
załogi).

Uchwała umożliwiała wreszcie bez-
pośrednie zaopatrywanie się jednostek
drobnej wytwórczości w zakładach
produkcyjnych, organizacjach obrotu
zaopatrzeniowego i rynkowego, u pro-
ducentów rolnych oraz u ludności. Poz-
walała także na prowadzenie skupu
od ludności materiałów i surowców
pochodzenia krajowego i zagraniczne-
go. Oznaczało to możliwość pominięcia
wyspecjalizowanych jednostek, które
dotychczas miały wyłączność skupu,
zagospodarowania i sprzedaży określo-
nych surowców.

Czas nie sprzyjał jednak wdrażaniu
dokumentu. Pogłębiające się trudno-
ści w całej gospodarce nie mogły nie
mieć wpływu na sytuację w drobnej
wytwórczości. Ale w ciągu ośmiu mie-
sięcy funkcjonowania uchwały powsta-
ły 34 przedsiębiorstwa państwowego
przemysłu terenowego, 389 spółdzielni,
8582 zakłady rzemieślnicze (w stosun-
ku do 4554 zakładów utworzonych w
II półroczu 1980 r.).

Wśród barier i ograniczeń o charak-
terze obiektywnym i subiektywnym
Marek Wieczorek wymienił:

— utrzymująca się nadal ciężka sytuacja
gospodarcza kraju, która powoduje bezpo-
średnie konsekwencje dla jednostek drobnej
wytwórczości, w szczególności — pogłębia-
nie się trudności w zakresie zaopatrzenia w
surowce i materiały, możliwości inwestowa-
nia, importu zaopatrzenia kooperacyjnego;
— niekorzystne warunki dla tworzenia no-
wych i ożywienia istniejących zakładów
drobnej wytwórczości z powodu braku lo-
kali, surowców i komponentów niezbędnych
do produkcji wielu wyrobów i rozwoju
usług, a także z powodu wysokiej progresji
podatkowej itp.;

— niedostateczna informacja wśród sa-
mych założeń jednostek drobnej wytwórczości
o istocie reformy, jej celach i zaletach;
— brak raufania do stabilności i trwa-
łości proponowanych rozwiązań;

— brak centralnego ognia wspomagają-
cego i nadzorującego wdrażanie reformy
w drobnej wytwórczości.

Przemysł drobny był nadal dyskry-
minowany — potwierdzały to liczne
skargi składane na ręce posłów —
pod względem zaopatrzenia materiało-
wego, a przekazywanie przez przemysł
kluczowy nieczynnych maszyn i urzą-
dzeń oraz odpadów dało znikome re-
zultaty.

W 1983 r. kilkakrotnie oceną situa-
cji w drobnej wytwórczości zajmowała
się Sejmowa Komisja Handlu We-
wnętrznego, Drobnej Wytwórczości i
Usług. Mówiono nieustannie o potrze-
bie stworzenia przychylniej atmosfery,
przywrócenia drobnej wytwórczości
preferencji ekonomicznych zniesio-
nych na początku roku, zmodyfikowa-
nia programów nauczania w szkołach
zawodowych i dostosowania ich do
specyfiki usług. Postulowano przede
wszystkim konieczność zagwarantowa-
nia ze strony ministra finansów sta-
bilnej polityki podatkowej.

Wiele postulatów zrealizowano. Zda-
niem pełnomocnika rządu do spraw
reformy gospodarczej przelamana zo-
stała już bariera placowa i psycholo-
giczna, która dotychczas hamowała
rozwój tego sektora, a „najbliższe lata
rysują się też pomyślnie, szczególnie
dla tych, którzy szczytą się najwięk-
szą efektywnością”. Tego optymizmu
nie podzielają jednak praktycy, zabe-
rający głos podczas listopadowego po-
siedzenia Zespołu XII Komisji ds. Re-
formy Gospodarczej. Najwięcej zastrze-
żeń zgłosili oni do modyfikacji zasad
ekonomiczno-finansowych.

O wypowiedź poprosił prof. Ed-
warda Kowalczyka, przewodniczącego
Centralnego Komitetu Stronnictwa De-
mokratycznego.

— W pańskim pionie, jako wicepre-
miera, znajdują się m.in. sprawy drob-
nej wytwórczości, której wiele prob-
lemów do tej pory nie jest załatwio-
nych. Czy to dowodzi, że w gruncie

rzeczy niewiele można na tym obsza-
rze działać?

— O sprawach nie załatwionych, ta-
kich jak zaopatrzenie w surowce i
materiały, brak środków na inwesty-
cje, ludzi do pracy, mniej lub bardziej
niekorzystne opodatkowanie, można
mówić nie tylko w stosunku do drob-
nej wytwórczości, ale praktycznie w
stosunku do całej gospodarki. Uwa-
żam, że wprost przeciwnie, drobna wy-
twórczość została dowartościowana nie
tylko od strony rozwiązań prawnych,
ale także i gospodarczych. Zresztą bro-
ni się ona sama: przede wszystkim
wynikami ekonomicznymi, dość szyb-
kim, jak na obecne warunki, rozwojem
produkcji, polepszeniem jakości, a
zwłaszcza operatywności i elastycz-
nością w działaniu. Wystarczy sięgnąć
do danych statystycznych, aby zoba-
czyć, że dobrze radzi sobie ona z kry-
zysem i lepiej się czuje w warunkach
reformy gospodarczej niż inne sekto-
ry gospodarki.

W najbliższym czasie oczekujemy
szczególnie ważnej decyzji politycznej,
sprzyjającej rozwojowi drobnej wy-
twórczości. Trwają ostatnie prace,
przed przekazaniem do Sejmu, nad
ustawą o drobnej wytwórczości, która
powinna przynieść określone preferen-
cje i w sposób ostateczny przyczynić
się do rozwiązania szereg trudności.

Oby! Zdaniem innych, szczególnie
powściągliwych w ocenach praktyków,
najbliższe lata, mimo wszystko, rysują
się bardzo pesymistycznie dla drobnej
wytwórczości, a więc także dla na-
szego rynku. Skutkiem reformy go-
spodarczej jest powstanie także wie-
li negatywnych zjawisk. Drobna wy-
twórczość rezygnuje z produkcji wy-
robów — tak potrzebnych na rynku —
nie gwarantujących rentowności. Z
drugiej strony utrzymuje się i umac-
nia zjawisko rynku producenta, osta-
biające zainteresowanie przedsiębior-
stwa obniżaniem kosztów produkcji
usług. **Wacław Opach**

